

# BLUSZCZ

*Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 11 MAJA 1929 ROKU

NR. 19

TREŚĆ NUMERU: Zadania kobiety współczesnej—*Janina Strzelecka*. Jednostka a zbiorowość—*Z. Zaleska*. Poezje: „Tuhanowicze“ — *Leonard Podhorski-Okolów*. Zawalidroga (powieść) c. d. — *Herminja Nagleroma*. Skłamanie szczęście (c. d.)—*M. H. Szpyrkówna*. Uroczystości Mickiewiczowskie w Paryżu—*J. Putiatycz-Surynoma*. Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Ceremonjał i formy towarzyskie — *L. Gerlachoma*. Jadłospisy wiosenne — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Zawsze pullover — *Well*. Dodatek „Kultura Ciała“. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

## ZADANIA KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ

Rosnący z dnia na dzień ogrom zadań we wszystkich dziedzinach życia, zmieniony do gruntu program pracy społecznej, pojmowanej nie jako filantropja, czy wogóle coś zależnego od dobrej woli jednostek, nie jako akcja od wypadku do wypadku, wreszcie przesunięcie środka ciężkości polityki wewnętrznej w kierunku uregulowania niezliczonego szeregu spraw natury społecznej, związanych ściśle z zagadnieniem bytu i przyszłości państwa, — musi równouprawnić kobietę całkowicie, nietylko z racji odnośnych paragrafów konstytucji, ale i z racji tego prostego, bijącego w oczy faktu, że mężczyzna sam nie jest w stanie podjąć ogromowi pracy, jaki życie obecnie wysuwa. Omawiając tę sprawę, analogiczną zresztą dla wszystkich niemal państw Zachodu, znakomity pisarz francuski Aurel powiada, iż „republika francuska, rządzona dotąd przez mężczyzn, jest coraz dalsza od ideału doskonałości, należy zatem skierować wysiłki w kierunku powołania kobiet do najszerszego udziału w rządzeniu wewnętrznymi sprawami państwa, ponieważ mężczyzna sam zachwiał się i załamał kompletnie pod ich ciężarem“. — Przytaczam ten (jakże znamienity!) głos „z zagranicy“ namyślnie, bo my przecież ciągle jeszcze na opinii cudzoziemców zwykliśmy polegać.

I co właściwie znaczy to „powołać kobiety do współpracy?“ Jakto, czy nie było ich tam dotychczas? Nie mam zamiaru przytaczać danych na stwierdzenie faktu, że nietylko rola dziejowa kobiety jest olbrzymia, że pod względem uzdolnień, rezultatów pracy, nietylko nie ustępuje mężczyźnie, ale przewyższa go niejednokrotnie większym poczuciem odpowiedzialności, ideowością i darem inicjatywy, — ale cho-

dzi mi przede wszystkim o to, aby, ustalwszy, że olbrzymia większość kobiet pracuje dziś zawodowo, czy zarobkowo, zastanowić się, jak przedstawia się sprawa owej współpracy, kwestja równouprawnienia jej praktycznie, jak przedstawia się to równouprawnienie wogóle, w myśl ustawy konst. o t. zw. równości obywatelskiej, i co powinno stać się najpilniejszą troską, najważniejszym zadaniem owej kobiety współczesnej, o ile dorosła do zrozumienia, że konieczność zarobkowania — to nie przejściowy etap, nie chwilowy rezultat ukształtowania się powojennych warunków życia, ale żelazne prawo ekonomiczne.

Jesteśmy powołane do współpracy, ach, i od jak dawna! Tylko... do niedawna była to jeszcze praca anonimowa całkowicie. Nasuwa mi się tu mimowoli porównanie kobiety z żołnierzem nieznanym, szarym, bezimiennym szeregowcem. Morze pracy, poświęceń, bohaterstwa. A w rezultacie? Kobieta, o ile nie pracuje zarobkowo, nazywa się, że nic nie robi (przy mężu), a o ile pracuje zawodowo, to ma w olbrzymiej większości zamkniętą drogę do wszystkich wyższych stanowisk; jako jaskrawy przykład, niech mi wolno będzie przytoczyć fakt, że w jednym z Ministerjów kobiety, pracujące przeszło 20 lat, pozostają dotąd w jednym i tym samym stopniu służbowym, podczas, kiedy koledzy ich (przy tych samych kwalifikacjach), są dziś wysokimi dostojnikami tegoż Ministerstwa. Jeżeli pracuje w fabrykach, przedsiębiorstwach, sklepach etc., wynagradzana jest o wiele gorzej, aniżeli mężczyźni.

Co jakiś czas dowiadujemy się (b. rzadko, notabene), że p. X., czy p. Y. dostała zaszczytu podnie-

sienia jej do wysokości VI stopnia służbowego. Możliwy te wybranki losu na palcach wyliczyć. Wiemy doskonale, że niektóre departamenty stoją dobrze dlatego tylko, że cała praca, inicjatywa, spoczywa na barkach referentek, czy sekretarek, a panowie naczelnicy, czy dyrektorzy ograniczają się do kładzenia swych podpisów. Jeżeli zwierzchnik taki ustępuje, broń Boże, nie proponuje się jego stanowiska kobiecie, choć, jak powiadam, jej głową idzie cała praca. Zupełnie to samo we wszelkich instytucjach społecznych, samorządowych, komunalnych.

Wszędzie, na każdym kraku, stykamy się z owym upośledzeniem kobiety; dość przypomnieć choćby, że w projekcie ustawy o sędziach przysięgłych zaznaczono wyraźnie, iż udział kobiety w tych sądach ma być wykluczony, nie dopuszcza się ich do stanowisk ławniczek. Ale poco mówić o ustawach, mogących wejść w życie? wystarczy choćby pobieżnie tylko przyjrzeć się istniejącemu stanowi rzeczy. Weźmy chociażby tylko zastosowanie tej „równości obywatelskiej“ w szkolnictwie! Co za znikoma mniejszość szkół średnich, czy zwłaszcza zawodowych dla dziewcząt! a tyle się deklamuje przecież o konieczności „szerzenia zamiłowań i uzdolnień do pracy zawodowej“. W stolicy niema dotąd ani jednej państwowej szkoły handlowej dla naszych córek, a do szkół zawodowych, trzeba zdawać konkursowe egzaminy, mając nawet maturę! Szkoda, że o tej bolączce nie mówiono na ostatnim Zjeździe T. N. S. W., zamiast rozpatrywać średniowieczne projekty.

Wracając do sprawy systematycznego, powiedziałabym — programowego, niedopuszczania kobiet na wyższe stanowiska (powyżej IX czy VIII stopnia służbowego), do stałego wyzyskiwania ich pracy zawodowej, ideowej i społecznej w instytucjach wszelkiego rodzaju i typu, przy jednoczesnym i skrupulatnym uniemożliwianiu prowadzenia danych działań przez świetne częstokroć organizatorki, ale powierzenie ich osobom zupełnie nieodpowiednim, wyłączenie i jedynie z tytułu przynależności do rodzaju męskiego, pytam: jakimiż to pobudkami kierują się t. zw. czynniki powołane? Kobiety nie posiadają zdolności organizacyjnych? Czyżby? Nie chcę tu rozłączać ponurego obrazu wszelakich „gospodarek miejskich“ i tylu, tylu innych, nie chcę wkraczać w dziedzinę polityki panów w sejmie od pierwszej chwili, jego istnienia; nie będę przypominać tego, o czym wszyscy wiemy, jak to tam było z tą dewaluacją, aprowizacją, funduszem bezrobocia, walką z bezdomnością, alkoholizmem, polityką społeczną etc. Byli tam przecież tylko mężczyźni, i co?...

Ileż to razy my, kobiety, mogłyśmy skonstatować kompletną indolencję, bezład, brak logiki, a zwłaszcza zastraszające, nieprawdopodobne zastosowanie zasady kolejności w ustalaniu wydatków! Byli przecież ci, tylko, co „umieli“ te sprawy prowa-

dzić. Nas tam nie było. I oto przechodzę do sprawy najważniejszej, do owej niepojętej bierności mas kobiecych, do owej niepojętej apolityczności, do zupełnego i stałego przeoczenia faktu, że przecież wszystkie ujemne strony dzisiejszego życia, — czy to klęska mieszkaniowa, czy nędza urzędnicza, czy zdrowotność miast i miasteczek, czy niedostateczna ilość szkół i znikoma ilość przedszkoli, czy higjena społeczna, czy zastraszający rozwój alkoholizmu i t. d., i t. d. — że wszystkie te bolączki całym swym ciężarem spadają na barki kobiety.

Otrzymałszy prawo wyborcze, t. zn. potężną broń w walce o swoje faktyczne równouprawnienie, nie potrafiły kobiety dotąd, stanowiąc wszak 53 procent ogółu obywateli - wyborców, przeprowadzić więcej ponad 8, wyraźnie 8, przedstawielek do Sejmu!

Nie silę się nawet na określenie tej niezrozumiałej apatii, często tego niesłychanego braku instynktu samozachowawczego, który powinien dyktować kobietom jak najdalej idącą pod tym względem aktywność. Przecie trzeba sobie raz nareszcie uświadomić, że przeciwstawić się zaciekłemu, bezpłodnemu partyjniactwu, warcholstwu, tak bardzo paralizującemu ciągłość prac sejmowych, mogą tylko kobiety, reprezentowane przez swoje posłanki w tej proporcji, jak są reprezentowani mężczyźni. Nie dorosły do „stanowienia“ o losach narodu? Nie dorosły do rozwiązywania ważnych spraw politycznych? Policzmyż, ile to tych „najlepszych, najgodniejszych i najfachowszych“ ludzi możemy wymienić na wszelakich stanowiskach!

Przynależność partyjna, klucz partyjny — to wystarczająca legitymacja nawet dla największej miernoty. Pocóż owijać w bawełnę, nazywajmy rzeczy po imieniu! Wiemy o tem wszystkie, oburzamy się często, ubolewamy, krytykujemy, etc. Cała nasza rola ogranicza się właśnie do tych rozmaitych gorzkich żalów. Ciągłe jeszcze, siłą obumarłej tradycji, pozwalamy w siebie wmawiać, że udział nasz w polityce — to rzecz nie do pomyślenia, że nie dorosłyśmy, że nie powinnyśmy mieszać się w nie swoje rzeczy.

Wkońcu — ostateczny argument: „la politique est un sale métier“ i kropka. Taak? Czyż pokrycie kraju siecią złobków to... brudna polityka? Walka z panoszącym się coraz bardziej nieładem, handlem żywym towarem — to brudna polityka? Izby mieszkalne dla wszystkich pierwej, niż wielkie luksusowe gmachy, pomniki, kosztowne inwestycje — to brudna polityka? Udostępnienie szkoły wszystkim dzieciom w Polsce — to brudna polityka? Równa płaca za równą pracę — to brudna polityka? Udostępnienie wyższego stanowiska dzielnej, mądrej wykształconej kobiecie — to brudna polityka?!...

Ponieważ tak bardzo imponuje nam wszystko,

co dzieje się na Zachodzie, niechże mi wolno będzie przypomnieć, że w Anglii kobiety od wielu, wielu lat są właśnie tego zdania, że polityka — to nie zawsze brudne rzemiosło, jak handel niekoniecznie musi być szwindlem. Mamże przytaczać bohaterską walkę prześladowanych, ośmieszanych sufrażystek, których przewodniczką, miss Pankhurst, doczekała się pomnika, i dziś w przededniu wyborów do Parlamentu, wszystkie bez wyjątku stronnictwa ubiegają się o 5 milionów kobiecych głosów? I co? Kobiety wystawiły własną listę i ławą postanowiły głosować na nią i wejdą w ogromnej ilości, jako przedstawicielki do Izby Gmin. Co za przykład, co za nauka, co za memento dla nas!

Co lat pięć wzywają nas do spełnienia „Świętego obywatelskiego obowiązku“, głosowania na nich, na mężczyzn. Obiecuja mannę z nieba, spełnienie wszelkich postulatów „kobietych“, tak, jak gdyby to, czego żądamy, nie było postulatami najbardziej ogólnymi, do których zrealizowania przyszłość pokoleń zależy. A my? głosujemy. Idziemy zawsze drogą najmniejszego oporu, znajdując upust niedoli w skargach i narzekaniach.

Kobiety angielskie wywalczyły sobie prawo głosowania. Były aresztowane, więzione, karane, ale zwyciężyły wreszcie na całej linii. My dostałyśmy prawo wyborcze bez najmniejszego wysiłku. I być może dlatego nie zdajemy sobie sprawy z ważności tego atutu. Udział nasz, niestety, anonimowy dotąd,

we wszystkich dziedzinach życia jest olbrzymi. Po roku 14-ym dokonałyśmy rzeczy niezwykłych; myślę, że ma rację Seignobos, prof. Sorbony, znakomity historyk, gdy twierdzi, że kobiecie po ostatniej wojnie zawdzięczać należy utrzymanie cywilizacji. Dodam jeszcze, że nam, kobietom, w pierwszym rzędzie zawdzięczać należy i równowagę budżetu państwa. Kobiety nie zdają sobie sprawy, że ich bohaterstwo — bo bohaterstwem jest prowadzenie domu w granicach nędznej urzędniczej pensji — że ich praca ratuje pokolenia przyszłych budowniczych Polski od skarlenia i wymarcia; nie zdają sobie sprawy z godności i znaczenia swej pracy. I oto pierwsze zadanie kobiety współczesnej, tej, która dorosła do zrozumienia owej roli w politycznym życiu narodu, to budzenie ducha wśród szerszych mas kobiecych, to organizowanie ich, uświadamianie, mobilizowanie coraz to nowych kadr. Nie za 4 lata, ale od dziś, natychmiast rozpocząć pracę, aby, gdy przyjdą nowe wybory, móc wystawić własną listę.

Budzą się masy kobiece wszędzie. Francuzki walczą o swe prawa, budzą się kobiety w Turcji, w Chinach, w Japonji.

Jest to ruch potężny i żywiołowy, i ślepcem jest ten, kto uważa to za „zjawisko przejściowe“, lub za objaw „degeneracji“. To jest rewolucja. Tak. Rewolucja kobiet — najszlachetniejsza, jaką przeżywała ludzkość. Bezkrwawa rewolucja o uszlachetnienie wszelkich form życia.

Janina Strzelecka.

Z. ZAŁESKA

## JEDNOSTKA A ZBIOROWOŚĆ

Na frontonie gimnazjum plockiego, zbudowanego przez społeczeństwo w latach przed wielką wojną, widnieją dumne słowa: „Naród sobie“.

Myślę o nich zawsze, gdy... gdy naprzykład przeglądam „Bluszcz“, którego czytelniczki tyle już rozsypały pomysłów różnych w „Naszej Mównicy“. Nie brak nam inicjatywy — brak wykonawców, brak ludzi takich, jak dr. Maciesza w Plocku, którzy nie rozdrabniają swych sił na dziesiątki spraw, tylko zacinają się w uporze wykonania powziętego zamiaru. Twórca Górki pod Buskiem — sanatorium dla paruset dzieci (i przychodni dla chorych włościan) — dr. Szymon Starkiewicz zbudował je z niczego w najtrudniejszych latach 1918—1926 r. Książeczkę L. Kisielewskiego „Czyn — nie łza“, opowiadającą o tej „polskiej metodzie pracy“, która z serca ludzkiego wydobywa siłę, stwarzającą wielkie dzieła z niczego, włożyłabym w ręce wszystkich naszych Czytelniczek i wszystkich tych, którzy pra-

gnęliby czegoś w życiu dokonać, ale... nie wiedzą, jak się do tego zabrać.

Koncentracja woli, skupienie myśli na szczegółach określonego planu, bezwzględne przekonanie, że dana sprawa musi być wykonana, bo jest potrzebna — oto co cechuje twórców. Rozgorzali entuzjazmem, porywają obojętnych, zarażają swoją wytrwałością sceptyków. I mają jedną tylko tajemnicę swego powodzenia: poświęcają wszystkie siły jednemu dziełu. Nie znaczy to, że zaniebują dla niego swoje obowiązki rodzinne, czy pracę zarobkową. Nie, to znaczy tylko, że wolnych chwil nie marnują. Gdy przeglądamy życiorysy sławnych ludzi rasy anglosaskiej, na każdym kroku przebija w nich umiejętność wykorzystywania wolnego czasu i dążność do specjalizacji. Swett Marden mówi przytem o „siatce do chwytania okruchów czasu, tych resztek z każdego dnia i każdej godziny, które większa część ludzi strąca w niczem niezapełnione próżnie życia.

Ten, kto zbiera i spożytkowuje celowo wszystkie wolne chwile, półgodziny, niespodziewane święta, przerwy, przeciągi czasu między jednym zajęciem a drugim i chwile czekania na niepunktualne osoby — dochodzi do rezultatów, zdumiewających dla tych, którzy nie zdobyli tej tajemnicy“.

Mamy w ojczyźnie prześliczne przykłady, czego dokonać może jeden człowiek, przejęty swoją ideą. Mamy ich bardzo wiele, tylko... dzienniki uważają za korzystniejsze, celowsze, bardziej budujące podawać całe szpalty swoich stałych kronik kryminalnych, wyjaśniać, jak, z jakim przygotowaniem dokonana została ta czy inna zbrodnia, czy kradzież. Opis jakiegoś dzieła społecznego uważa się za reklamę instytucji lub człowieka, a zatem coś jakby osobistego, jakby podejrzanego („Co on w tem ma, że o tem pisze?“). I trzeba sobie przyznać, że o zmianę tego stanu na odwrotny dopominają się ciągle i wyłącznie niemal pisma kobiece. A przecież, gdybyśmy mieli z taką samą codzienną wytrwałością podawany wykaz tych dzieł, które „Naród sobie“ — stworzył — żłobiłyby się w psychice społecznej mocne rysy otuchy i wiary w siły jednostek.

Jednostek? Tak. Jednostka pozostanie zawsze najważniejszym czynnikiem życia społecznego, życia gromady ludzkiej. Gdziekolwiek, w jakim zakątku kraju zaczniemy śledzić życie, o jakiegokolwiek dzieło nam chodzi, wszędzie natkniemy się na jakąś wybitną indywidualność, która stała się — jakby soczewką, skupiającą — umiejącą skupić energję otoczenia. Stają mu do pomocy dziesiątki ludzi, ale ten jeden człowiek jest motorem. A jego wartość wykazuje się nietylko w okresie pracy nad stworzeniem dzieła. Sprawdzianem najistotniejszym jest okres późniejszy. Jeśli zapoczątkował dzieło takie, które może już trwać potem o własnych siłach, jeśli z pośród tych pomocników wychował sobie następców i zastępców równej miary — to dowiódł swej istotnej głębi.

Mogą być różne przytem kojarzenia sił. Nie jeden człowiek obmyśli sobie nawet jakieś dzieło bodaj do szczegółów, a nie ma energii i odwagi, dla wykonania potrzebnej. Drugi może być odważny i energiczny, lecz potrzeba mu właśnie inspiratora. Gdy takie dwie jednostki się zejdą — sprawa przybiera obrót pomyślny. Inaczej nie ogląda światła dziennego, chyba, że stanie się tak, jak z pomysłami Fouriera (ur. 1772 r.), które urzeczywistniono w 150 lat po jego śmierci, nie wiedząc, że nie są nowym, współczesnym nam, pomysłem \*).

O co zatem chodzi? Przedewszystkiem o opracowanie planu i znalezienie wykonawców.

I tu nasuwają mi się na myśl... dwie charakterystyczne powieści. Jedna — to „Tunel“ Kellermana, druga — „Cement“ F. Gładkova. W obu jest ów „twórca“. Jeden Mac Allan — Amerykanin — potrafił rozentuzjasmować dla swego planu przebicia

tunelu pod Atlantykiem miliardów amerykańskich. Zbrojny w kapitał, zwycięża mimo przeszkód, mimo ruiny osobistego życia (zabicie żony i córki przez zbuntowanych robotników). Koniec: pierwszy pociąg z Ameryki do Europy ma tylko jednego pasażera; na peron w Europie wychodzi niski o małpiej twarzy miliard, który nie zawahał się włożyć jakichś tam astronomicznych sum wraz z ręką swej córki w dłoń Mac Allana po kryzysie, który — zdawało się — zniszczy rozpoczęte dzieło.

Drugi „twórca“ — to bolszewik (proszę się nie przerażać) — były krasnoarmiejec i były ślusarz fabryki cementu, którą unieruchomiła i — oczywiście — rozkradła zwycięska rewolucja. Stoi zniszczony szkielet; po zarosłych trawą, zrujnowanych terenach fabryki pasą się kozy; części maszyn porozkradane; czuwa tylko jeden fanatyk maszyn — mechanik Brynza, i zamknięty w swej celce, ocalał z pogromu odludek — „spec“ — inż. Kleist. Wokół niego, brud, głód, próżniactwo. W to całe błoto i „palańgan“ wpada zwolniony z armji ów ślusarz — Gleb. Nie porywa ludzi do pracy nad odbudową fabryki i przemowa Gleba: „Nie wywijać ozorer, towarzysze... łeb na karku, a garścią do roboty... Naprzód, towarzysze!“ Nad tłumem pochyla się sztandar republiki.

W naszej ojczyźnie, na szczęście, nie jesteśmy zmuszone przechodzić tak okrutnych doświadczeń, jakie z żony Gleba uczyniły „nowego człowieka“ — komunistkę zajadłą, której serce zastygło w kamień, ożywiony tylko pracą mózgu, silącego się na wydobycie jakiegoś nowego życia w obecnych warunkach bytu. Nie brak nam jednak tragedij, ukrywanych głęboko przed światem w zakrwawionem i wiecznie bolącym sercu. I dlatego trzeba nam taksamo odnaleźć, przemyśleć i wziąć głęboko w duszę „ideę, dla której warto żyć“, cel — który przetworzy „szare, codzienne życie“.

\*) Fourier opisał do najdrobniejszych szczegółów instytucję, będącą kooperatywą spożywczą i wytwórczą. Jego „falanster“ miał to być wielki, na 1500 osób hotel, zaopatrzone w pokoje mieszkalne pojedyncze i całe mieszkania rodzinne, sale jadalne, bawialne, czytelnie, sale koncertowe i t. p. Falanster miał wytworzyć przyjazne środowisko dla wszystkich swych mieszkańców. Miał dać im możliwie największy komfort przy możliwie małych wydatkach, zastąpić obsługę osobistą przez obsługę zbiorową i to systemem — o ile się da — mechanicznym. Falanster, to własność „falangi“ — stowarzyszenia i tylko jego członkowie mają prawo w nim mieszkać. Wokół falansteru miało ciągnąć się terytorjum około 400 ha. ziemi rolnej, z budynkami gospodarskimi i warsztatami wytwórczości, w rodzaju: szwalni, warsztatu szewskiego i t. p. Rola miała być poddana uprawie ogrodniczej, przyczem uwzględniał też Fourier hodowlę ryb, ptactwa, pszczół i zwierząt domowych. Praca miała być wykonywana grupami, pracującymi co pewien okres czasu w innej gałęzi. Specjalny nacisk kładł autor projektu na stronę estetyczną, na „pracę radosną, pociągającą“.

## TUHANOWICZE

„Altano! mego szczęścia kolebko i grobie“  
(„Dziady“ — cz. IV.)

Tu, w obliczu tych niebios, bywali szczęśliwi!  
Tu kłaskania słowików słuchali w leszczynie,  
Tu obłoki śledzili i, marzeń myślimi,  
Godzinami w zadumie tonęli jedynie.  
Wieczorami, gdy stawy się zwolna rozdzwonią  
Żab żarłiwym rechotem i blaskiem miesiąca,  
Zapatrzeni, wierzyli, że oto, nad blonią,  
Płynie wieczność i cicho ich czoła potęca.

Tu, w przededniu rozłąki, w ostatniej rozpacz,  
Stratowani przez tępo toczące się życie,  
Zrozumieli, że zawsze jest wszystko inaczej!...  
W „najpiękniejszą“ noc jasną, zroszoną obficie  
Niedawnymi deszczami, On, płacząc pacierze,  
Błądził w parku, chwytając się resztek nadziei...  
Ona, blada i biała, błysnęła w szpalerze  
Przy altanie. Liść zrywa. „Bądź zdrow!... i mnie nie... i...“

Dziś — tu jeno ruiny i miatru westchnienia.  
Trochę gruzu w gęstwinie zieleni rozszelakiej.  
Murówanko! twój ganek i stopnie z kamienia  
Dzisiaj piolun porasta i ślinią ślimaki!  
Niegdyś po nich stapały najdroższe nam stopy...  
Dziś już ścieżek nie znaleźć, nie przebrnąć przez chwasty —  
Kędy Roussa czytano, dziś zioną okopy,  
Z głębi malin pogiętych drut sterczy kolczasty!

Tylko jedno zostało: lipowa altana,  
Niegdyś szczęścia „kolebką i grobem“ będąca;  
Niebosięźnie rozrosła, wiekami omiana,  
Jeszcze stoi i marzy dalekie gorąca...  
I w tej jednej, jedynej altanie na śmiecie,  
Kiedy miatr nowogródzki gałęzie jej chyli,  
Można słuchać i słyszeć, jak po przez stulecie  
Bije serce Adama przy sercu Maryli.



HERMINJA NAGLEROWA

3)

## ZAWALIDROGA

(Powieść)

Ciesząc się z dowcipu, zawrócili. Jadzia podała najpierw Adonisowi, potem Frankowi wróbelczą łapkę i powiedziała komicznie: morowo! — Weszli na chwilę w bury mrok sklepu, gdzie jakiś pan wybierał kartki z dużej księgi, dygocąc palcami po aktach kobiecych. Wybierał, przymierzał sobie do smaku — blondynki, i rude, i brunetki, pytając od czasu po nury m basem o cenę.

Jadzia podnosiła nos do Adonisa i płonila się aż po rzadziwą jasność włosów. Czy przyjdzie do niej dziś wieczorem? Czy przyjdą? — poprawiła się. Jej nerwowy śmiech grał, jak tremolo madoliny. Śmiała się nawet przy podawaniu cen obcemu panu, nawet podczas pakowania kartek. Adonis śmigał wysmukłą talją, a Franek sterczał pniakowato, wężąc przykry zapach syndetikonu.

— Jadzka, co wolisz dziś — kino, czy cyrk?

— Kino — w Filharmonji jest obraz z Janningsem.

— Dobrze, niech będzie ten walkoń Jannings!

I znowu śmieli się z epitetu. Dziś zresztą nie było na świecie żadnej wielkości. Wszyscy zmaleli wobec zdanej matury. Adonis już się puszył i nadymał przed Jadzią, jakgdyby dokonał, Bóg wie, czego, a Franek wzruszył się nagle: czy się matka ucieszy?

W domu, jak na złość, matka była osaczona klientką. Właśnie młode małżeństwo sprzeczało się miodowo i zalotnie, jaki ma być abażur w sypialni. Czy liljowa, czy różowa, czy też może żółta nastrojowość powinna mżyć nad ich miłością. Franek nasłuchiwał przez chwilę pode drzwiami pracowni.

— Będą chyba nudzić do wieczora!

Ucieszył się, gdy zobaczył w swoim pokoju przygotowane śniadanie. Któż to pamiętał — matka, czy Marta? Zimne mleko splókało chrypkę po egzaminowej gorączce, bułka z szynką uległa gwałtowi zębów.

— Marta, zdałem! — krzyknął do kuchni, ale Marty nie było.

Na podwórzu rozrękał się inwalida pieśnią o białych różach i pocałunkach.

— Do diabła białe róże, pocałunki i śmierć!

Radość skowyczała, jak sfora psów.

— Dzień bez celu! Noc bez napominania! Jutro — niewyznaczone!

Zatańczył, jak murzyn na obcasach i podszwach. Tak właśnie trzeba się cieszyć klaskaniem nóg, dryganiem całego ciała.

Wreszcie weszła matka.

— No, widzisz — powiedziała.

— Skąd wiesz?

— Wiedziałam przecież, że zdasz.

Jej sine, trochę nabrzmiałe powieki były, jak płatki powiędłych cyklamenów. Usiadła na krześle, zakładając wysoko nogi. Kolana zaświeciły popielatym jedwabiem pończoch, a stopa w czarnym pantofelku przegięła się, jak u baletnicy. Zapaliła papierosa.

— Potem opowiesz mi wszystko. Czy trudne były pytania?

Wiedział, że nigdy jej nic nie opowie, bo wcale jej nie interesują te nudne sprawy. Ale dobrzeby było, gdyby tu trochę posiedziała i porozmawiała z nim o czemkolwiek.

— Masz nowe zamówienia! Słuchałem pode drzwiami.

— Tak, dużo zamówień. Może nawet trzeba będzie wziąć kogoś do pomocy.

I w ten sposób skończyła się rozmowa. Franek chciał jeszcze przypomnieć, że przyrzekła mu kupić rewolwer po zdaniu matury, ale nachmurzył się: sama powinna pamiętać!

W drzwiach odwróciła się jeszcze.

— Pisał twój ojciec, zaprasza cię na całe ferje.

— Pisał?

— Zrobisz, jak zechcesz.

— Chciałbym przeczytać list. Czy pozwolisz?

Przysłała mu list przez Martę i dlatego trzeba było cierpliwie wytrzymać chlepcące pocałunki i jarzyną pachnące pieścizny — że to doczekała się pociechy, że go na własnych rękach, własną piersią... Czułość popłynęła ciurkiem z oczu i wsiąknęła w fartuch. Szczęściem, poderwało Martę jakieś kuchenne, syczące niebezpieczeństwo i wtedy dopiero można było przeczytać list.

Drobne, prosto stawiane litery wysilały się na wyszukane zwroty. Pełno tam było zdawkowych uprzejmości i zapewnień o dopełnieniu zobowiązań zaraz po żniwach. Franka serdecznie zaprasza, żeby „odpoczął po pracy, żeby odetchnął wiejskim powietrzem“. Nic ostatecznie nie można było zarzucić formie i słowom, dobranym jaknajlepiej. Ale może właśnie dlatego głupi płacz rozdarł płuca i wtargnął do krtani. Lecz Franek prędko przelknął łzy i postanowił:

— Pojadę!

Wszystkie skrupuły były przecież nieważne wobec ochoty zobaczenia szpalerów jaśminu i białych pni w sadzie. Jak głód, męczyła ta ochota.

— Pojadę! — upierał się — pojadę, choćby się to komuś nie podobało.

Dla kogoż to ma się wyrzekać wszystkiego? Pewnie, że nie powie nic o tej ochocie, która komuś może

się wydać śmieszna i dziecinna. Ale właśnie tak jest, że chciałby już teraz, już zaraz chodzić drogą, po kurzu, który wytryskuje z pod stóp, jak tłusta woda. Idzie się tak do stajni w duszny zmrok, w wiecznie parujący mleczny zapach. A gdy się chce, mija się studnię, grożącą żurawiem, z wysoko kołyszącą się zieloną, połyskliwą głową wiadra. Mostek dudni nad wyschłym strumykiem, od czworaków pachnie koper i poprzez fale spiekoty trzeba się przedzierać do lasu, do tego śmiesznego, młodego lasu, podszytego szaro - zieloną grabiną i wilgotnego, jak nos psa.

Nic tu nie zastąpi tamtej radości i gdy się o tem myśli, niepotrzebność tutejszych dni jest oczywista. Bo, co tu będzie robił teraz? Piłka? Gwizdże na piłkę i całą drużynę, ma ich już dość po ostatnich świątństwach! Przypominał sobie twarze przyjaciół i kolegów i każdego z osobna nienawidził w tej chwili. O nikogo nie dba i z nikim, z niczem nie będzie się liczył!

Krzyknął Marcie do kuchni, żeby powiedziała matce, że poszedł nadać telegram do ojca.

— Jak Franeczkowi ładnie w kapeluszu! — rozwrzeszczała się — całkiem panicz do ojca podobny.

— Jadę jutro wieczór!

Ale Marta już alarmowała:

— Proszę pani, proszę pani! Jak nasz Franeczek do pana podobny!

Matka wyjrzała z pracowni. W krzyżujących się promieniach światła, które z otwartych drzwi wpadło w ciemny przedpokój, zobaczył Franek oczy matki. Jasne, świecące, jak woda pod żarem słońca. Można było dojść wzrokiem aż do żółtego dna. Lecz nagle spad powiek zasłonił blask. Wystarczyło jednak, by krótki przelot źrenic — od szerokiego kręgu zdziwienia, po wąską szpareczkę niechęci — schwycił syna, jak w potrzask. Mógł teraz przyznać się do nigdy niewybaczalnej winy: był podobny do ojca!

### III.

Zofja bandażowała pasemkiem batystu szkielet abazuru. Była to chyba najnudniejsza robota, ale można było oderwać się od niej nieuwagą. Pasemko miało już swoją skośną spiralę i nawet na węzłach własnym pomysłem splatało się w dwukrotny krzyż. Więc też z osobna i niezależnie układały się w myśleniu ważne i mniej ważne sprawy. Niektóre z nich urywały się nagle, jak zwałtała nitka, i kończyły się od razu, pozbawione wszelkiej wartości. A zato inne wydawały się wiecznotrwałe i niekiedy nie można było podolać ich natręctwu. Niewiadomo, gdzie się rozpoczynały w czasie i jak daleko zamierzały sięgnąć w przyszłość.

Rozmyślenia Zofji bywały niekiedy twórcze, gdyż nierzeczywistość wyobraźni jest jakgdyby projektem, jakby szkicem. Można robić poprawki, niby w bruljonie, zmieniać, ulepszać, a można także, jak w natchnieniu, stwarzać od razu doskonałość. Najlepiej było, gdy istniał rzeczywisty punkt wyjścia. Wtedy wyobraźnia mogła unikać fantastyczności i nieprawdopodobieństw, a przewidziany bieg wydarzeń stawał się już planem, według którego można było gospodarować w rozmyśleniach i prawie przeżywać realnie.

Zofja miała zresztą swój system, albo może tylko — zabobon, że wszystko należy przedtem dokładnie obmyślić, że trzeba przewidywać i zapobiegać. Był w tem lęk przed samowolą wydarzeń. Poznała już przecież katastrofalność niespodzianek, a teraz myślała:

— Trzeba rozumnie kierować, trzeba, aby było tak, jak ja chcę.

Mogła dziś wylać zuchwałe nakazy, bo właśnie było dobrze, było tak, jak chciała. Od rana już krzątała się po domu pomyślność i trzeba było tylko wybrać — co jest najlepsze, co najważniejsze. Trzeba też było każdej dobrej sprawie wyznaczyć należne miejsce, aby się nie płały ze sobą. Więc z osobna zamówienia, z osobna matura Franka, a zupełnie na innej płaszczyźnie list męża. A teraz — te wszystkie sprawy trzeba odsunąć i najwięcej miejsca zostawić dla Jerzego, który zapowiedział telegramem przyjazd na pojutrze.

Oczekiwanie, jak lasso, zarzucało się o wyznaczony dzień. Już był zatrzymany pierwszy moment powitania i już można było przeżywać tę największą radość. Należało jednak przedtem ułożyć sobie wszystko pokolei, obmyślić, co i jak. Przedewszystkiem trzeba się pośpieszyć z robotą, aby mieć dużo wolnego czasu, gdy Jerzy przyjedzie. Jak na złość dostała teraz tyle zamówień i oczy zmęczą się, białka zmętnieją od czerwonych żyłek. Pewnie też spuchną powieki i zaszklą się przy rżesach sinemi obwódkami. Jerzy powie poswojemu, trochę czule, a trochę bezmyślnie:

— Znadto się przemęczasz.

Więc trzeba się będzie uśmiechać tak, by zmrużone oczy nabrały uludnego blasku. Ale tyle tylko jej oszukaństwa, bo potem słowa i gesty nie zechcą już zataić prawdy, która jest w zmiętości rozkoszy i w grymasie spazmu. Poszarpane tętno serca zamierać będzie z tkliwości i wszystko już będzie jedno, czy jest ładna, czy młoda, czy świeża. Nie będzie przecież i tak niczem więcej — tylko krzykiem i zdumieniem.



## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

List ten stropił mnie ogromnie. Szukać! Jak? gdzie? u kogo i... za co? Pieniądze topniały w sposób zdumiewający, mimo, że żyliśmy przecież tak skromnie! Byłam zdenerwowana. Chodziłam po alei przed gazonem, gdzie Hanuśka bawiła się z Dogiem i Dorotką, a Franciszek szył pantofelki dla małej na niskim zydlu. Pocziwy, kochany Franciszek! Cobym poczęła, gdyby nie zbieg wypadków, że przyjechał ze mną? Było to jedyne wielkie dobro, jakie mi nie chcący wyświadczyła Lora, wzamian za wiele wielkiego zła. Był w naszym malutkim gospodarstwie na rumowisku wszystkim: ogrodnikiem, lokajem, kucharzem, administratorem i stróżem. Właściwie, był jedyną naszą obroną, nas trzech, z których Dorotka miała osiemnaście, ja — dwadzieścia jeden, a Hanuśka — dwa lata! On miał ich sześćdziesiąt pięć.

\* \* \*

Jedno z drugim, należało coś powziąć konkretnego. Obliczyłam kapitały: zostawało mi niecałe osiem tysięcy. Z dwudziestu! Rozpacz chwytła mnie za włosy. Co robić? Co przedsięwziąć, żeby się i ta reszta nie rozplynęła, jak dym?...

W głębi duszy już czułam nieuniknioną, ale krwawą dla mnie odpowiedź: powrót na leśniczówkę! Jedyne miejsce, gdzie na przytułek i pomoc liczyć zawsze mogłam — tylko że ich skromniutkie życie, ich maleńkie grosze, czyż mogły być jakkolwiek podstawą na dłuższą metę?... A tyle upokorzenia, tyle wyjaśnień z powodu powrotu... w tych warunkach!

I, jak to się często zdarza, kiedy o czymś intensywnie myślimy, jakgdyby przyciągając wypadki: wtedy właśnie dostałam od babuni list. Serce mi stanęło w piersi: był oznaczony czarnym krzyżykiem, jak było zwyczajem u nas, ile razy ktoś bliski umierał. W naszym miasteczku nie było jeszcze mody na żałobny papier listowy: kreślono atramentem krzyżyk — i dość. Śmierć, tak czy tak, dawała znak, że — była!

Istotnie: staruszek, nasz najmilszy staruszek nie żył! Babunia pisała słabemi, starczemi linijkami:

„... I nietylko ten cios mnie gnębi, bo cóż: wola Boska!... Śmierć na mnie także niezadługo zapewne już przyjdzie. Ale boleśnie mi jest, nasza ty pocieszko jedyna, że tak, jakby się odwróciło od nas na nasze stare lata twoje serce. Nie piszesz, nie przyjeżdżasz i znaku o sobie nie dajesz. Widać, w twojem wspianiem nowem życiu zabrakło już miejsca na nas, prostacków. Widać, nie na swoją dolę ciebieśmy do miasta oddali! Bodajby przynajmniej na twoją! Ostatni list miałam po urodzeniu się twojej córeczki, a naszej

najmilszej, choć niewidzianej, wnusi. Wciąż piszę: my i nam — ale tak trudno zostać samej potem, jak się życie przeżyło we dwoje i wszystko, i zawsze było z myślą: my! Jakże staruszek marzył, że do nas w lecie przyjedziesz! Nie miałabyś tu zbytku, ho! nawet wygody: ale wielebyś nam sprawiła uciechy, to Bóg tylko wie. a sędzę, że nawet i przysporzyłabyś może dziaduniowi życia, bo radość jest najlepszym lekarstwem! Tęsknił za tobą bardzo, co tu ukrywać, ale cóż! Widać, sądzone było inaczej. Jednakowoż, nie tracę nadziei, że teraz chociaż zrezygnujesz na czas jakiś ze swoich apartamentów i lokai, i napiszesz, kiedy do mnie starej bodaj na jeden tydzień z najmilszą naszą wnusią przyjedziesz, ażeby Marcinowa mogła przyszykować pokoje. Ja zamieszkałam w alkierzyku przy kuchni, a ty będziesz miała nasz dawny pokój i salonik, żeby ci nie było zbyt ciasno z małą. Marcinowej już na wypadek kazałam posadzić kokosz na dwadzieścia jaj, żeby były kurczęta, bo i czemuże cię tu będziemy karmić? Wszyscy mnie o ciebie dopytują, i proboszcz nieraz nagabuje, a mnie przykro, bo zmyślać nie umiem, a sama tak mało co o tobie, nasza Hanulko kochana, wiem. Nawet dyrektor z administracji, co to cię kiedyś odwoził, a teraz przyznał nam zapomogę na pogrzeb dziadunia, bo i skądżebym mogła nastarczyć! nawet on przy tej okazji pytał o ciebie. Cóż? Powiedziałam, że jesteś teraz wielką damą z tytułami i pałacami, więc ci nie sporo zbyt często pisywać do nas. Bardzo uczynny i uprzejmy człowiek, Bóg mu niech zwróci za ten tyśiąc, który nam dał! Sprzedałam także tę broszkę, co to wiesz, z granatami; mało dali: osmdziesiąt złotych, ale teraz tak ciężko o każdą złotówkę, że i to — coś! Tego roku znowu zasiałam przed ganeczkiem dużo rezedy i groszku, jak lubiłaś: może przyjedziesz? Króliki mają małe, i kotka też: wnusiaby się miała z czego ucieszyć. Błogosławię was obie, moje skarby jedyne, i proszę cię Hanulko, napisz chociaż teraz. Wiem, że się przejdziesz śmiercią dziadunia, ale cóż robić? Nie wymawiaj sobie zabardzo. Zato, myśl teraz o naszym sierocym już domku częściej!”

\* \* \*

Siedziałam na murawie, gdzie mnie ten list zastał, opodał zwykłego naszego obozowiska, i łzy mi się sypały na kolana i na list, który opadł niemocnie wraz z dłońmi. O Boże! tego było za dużo! Dziadusia kochałam fanatycznie, byłam zazdrosna nawet o Janka, dokąd u nas przesiadywał i polowali razem. Nikomu na świecie nie chciałam bardziej sprawić radości, niż jemu, niż im! A oto umarł, nie widziawszy



nawet Hanuśki!... jakżeby się nią cieszył, najmilszy mój dziadziuś... a staruszka musiała na pogrzeb pożyczać pieniędzy w administracji lasów! Mając wychowankę, która zrobiła karierę, a im pozwala umierać w niedostatku! Jak tam o mnie musiano mówić, co tam o mnie musiano myśleć w naszym miasteczku?! I tylko oni sami nie mieli dla mnie ani słowa wyrzutu, ani kropli żalu! Zato — byli smutni. O Boże! jak mogłam do tego dopuścić, jak mogłam w imię ambicji kryć się z moją własną nędzą, oszczędzać sobie upokorzenia kosztem ich bólu! Szlochałam na głos, zasłoniwszy rękami twarz. O, życie słusznie mściło się na mnie za moje złe, oschłe, ambitne serce, które spekulowało, zamiast czuć.

Mokre, ciepłe technienie owionęło mi twarz. To Dog szorstkim, ozorem przejechał mnie po policzku i brodzie. Dobre, psie oczy zajrzały w moje, niepewne, co się dzieje? Przytuliłam się do niego twarzą i szmatywnie zapłakałam na głos. O, gdybyż ktokolwiek, do kogo się można przygarnąć, poskarżyć i naobwiniać się aż do ulżenia sercu, ciężkiemu, jak ołów, bólem!

Nagle maluchne, ciepłe ciało zapadło mi się na kolana, i usłyszałam poważny głosik, pełen zgorzienia i troski:

— Mamusiu, a czemu ty płakaś? Mamusiu, nie cieba płakać, bo jutro nie będzie słoneczka! Pokaż oćka, to ci wytłę chuściecką. Tylko nie mam chuściecki, bo złościłam z niej kapelusz dla Bulusia, żeby mu nie było gołąco w główkę. Mamusiu, bo ja też zalaż będzie niegreczna!

Buruś istotnie siedział opodal na murawie pod parasolem z bibulki i z chusteczką zawiązaną na głowie, co czyniło go podobnym do Czerwonego Kapturka. Dorotka słodko spała, podłożywszy rękę pod policzek, na trawie obok niedźwiadka. Popołudniowe słońce powoli się zniżało. Franciszek z drzwi kuchni wynosił właśnie tacę z podwieczorkiem: poziomki, mleko i kaszka dla malutkiej. Dog zakręcił ogonem i pobiegł truchtem naprzeciwko.

W tej właśnie jednej chwili przeleciało nademną coś, jak skrzydło przeczcucia, że to — ostatni obraz pogody i spokoju, jakkolwiekby dziwnie był zbudowany. Wzięłam w siebie i zieloność murawy, i spokój parku, malownicze zamczysko, i słoneczne błogosławieństwo pod błękitami cichego nieba. Nagle poczułam, że i to zostanie zburzone i odjęte. Nagle poczułam, jak — sądziłam, że nieodwołalnie. Pojadę, pojedechać muszę! Czyż doczekam, aż obok dziadusia wyrośnie druga mogiła?.. Złamałam w sobie jednym zamachem ambicję i bunt. Opowiem! Opowiem tę całą moją fantastyczną, dziwną, nie do wiary „karje-

re” w jej istotnym, niezretuszowanym przez fałsz, realizmie! Wyznam całe nieporozumienie, krwawo, krwawo przezemnie zresztą opłacne! którym przez kilka lat trzymałam się na sztucznym cokole, teraz rozbitym w kawały. Stanę tak nisko, jak stałam wysoko, tak, jak... istotnie stanąć w imię prawdy powinienam, aby nie kłamać dalej! Przetnę jednym, najboleśniejszym bodaj cięciem, zaplątaną sieć kłamstwa, w której się uwikłałam, jak w cierniu, i nareszcie wtedy może... coś się zmieni! Może — zatrzymam się już przy babuni i nie wrócę więcej? Nawet zapewne, przynajmniej narazie — tak!.. A co powiedzą ludzie?... Mój Boże!.. Życie już mię smagnęło parę razy zbyt boleśnie, ażeby nie zniosła i tego. Byleby raz już nie kłamać więcej wobec nikogo i nigdzie!

Porwałam Hanuskę na ręce i zacałowałam maluchne piąsteczki i buzię.

— Hanuśka, wiesz?... Pojedziemy do babuni! Babunia jest stareńka i sama, więc chce, żeby miał kto jej pośpiewać piosneczki. A wiesz, jakie tam u babuni są śliczne króliczki! Będiesz się z nimi bawiła. Patrzyła na mnie z uwagą i bez zachwyty.

— A jakie to są króliczki? Hanusia cie jeść jagódki.

— Zaraz dostaniesz, już Dorotka przyrządza. Króliczki są takie, jak... jak Buruś, tylko żywe i ciepłutkie, z wielkimi uszkami. I małe kurczątko też będą, i piesek! I będziemy miały duży las, żeby zbierać jagódki!

— I króliczki będą zbierać jagódki? Hanusia cie bawić się z króliczkami!

Franciszek przyniósł stół i lokował obok mnie tacę. Musiałam się z nim podzielić tą wieścią.

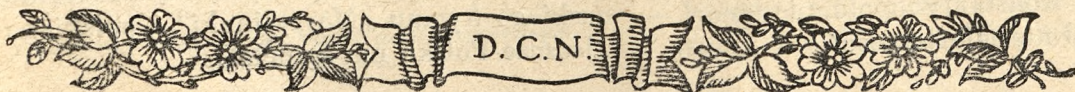
— Franciszku! Pojedziemy do starszej pani na leśniczówkę, do Białowieży! Wie Franciszek? Dostałam list, że dziaduniec zmarł. Postanowiłam koniecz- nie pojedechać, żeby staruszce chociaż pokazać Hanuskę. Kto wie? Może tam stanę?... Tam... lepiej!..

Stary postawił tacę i patrzył we mnie wyblakłymi, jak bławatki jesienne, oczami. Ręce mu się trochę trzęsły.

— Hanuskę?... Pewnie, że trzeba, pewnie! A... a... któż zostanie przy domu?

Przy domu! Prawda! Przecież bądź cobądź nie- sposób było chyba jechać od razu ze wszystkimi rzeczami? Ogromny kufer wyprawny i dwa kosze — był to bagaż zbyt duży na czasową podróż, zanim się zdecyduje. Zresztą, dom dosłownieby został na opiece Boskiej. Zastanawiałam się, patrząc na starego wielkimi oczami. Istotnie! Co zrobić?

Dopiero po dwu dniach Franciszek zbliżył się do mnie i pocałował w rękę.



J. PUTIATYCZ SURYNOWA

# UROCZYSTOŚCI MICKIEWICZOWSKIE W PARYŻU

(Specjalna korespondencja „Bluszczu“)

Od roku przeszło na placu Alma w Paryżu widniało rusztowanie, kryjące budowę pomnika Mickiewicza.

Od roku.

Od roku zaś 1913 (przed wojną światową jeszcze) mistrz Antoine Bourdelle nosił się z myślą stworzenia wielkiego dzieła, uplastyczniającego w kamieniu polskiego poetę, proroka i patriotę. Temat ten „przypadł mu“, jak to mówią, „do serca“. Towarzystwo francusko-polskie dopomogło do urzeczywistnienia genialnego pomysłu i oto jesteśmy świadkami odsłonięcia tego natchnionego dzieła.

Bourdelle sam o swem dziele tak mówi: „Paryż nam dał mało miejsca, ale na tym kawałku my stworzymy linję—kolumnę (gdyż nic niema tak szlachetnego w linji, jak kolumna). Na podstawie pomnika przedstawię trzy części Polski złączone. U szczytu Mickiewicz unosi swą proroczą rękę do nieba, przekazując ludziom swe ideały, zaklęte w kamieniu“.

Ostatnie tygodnie mistrz Bourdelle spędzał wraz ze swymi uczniami poza palisadą z desek, wykończając ustawianie lśniącego starem złotem pomnika. Pomnika, który będzie jedną więcej artystyczną ozdobą Paryża.

I oto 27 kwietnia rozpoczęły się uroczystości, związane z jego odsłonięciem.

Zainaugurowała te uroczystości konferencja radjowa p. Ambruster'a (komisarza generalnego związków towarzystw francuskich) na temat przyjaźni francusko-polskiej.

\*

W godzinę potem, t. j. o godz. 8 i pół wieczorem, odbyła się uroczysta Akademia w Sorbonie, zorganizowana przez Collège de France, pod przewodnictwem p. ambasadora Chłapowskiego i ministra robót publicznych i sztuk pięknych, oraz w obecności wybitnych osobistości francuskich i polskich.

Wielki amfiteatr Sorbony był przepelniony. P. André Mazon, profesor języków i literatury słowiańskiej w Collège de France, mówił o życiu i dziełach Adama Mickiewicza. P. Mazon uważa wszystkie jego dzieła „Les Dziady“, „Pélerins polonais“ i t. d. oraz pięć tomów, zawierających wykłady w Collège de France, za „propagandę narodową i brewjarz patriotyzmu“.

A dalej — jedno z powiedzeń p. Mazon: „Mickiewicz, umierając w Konstantynopolu, nie umarł — genjusz jego osiągnął nieśmiertelność“.

W niedzielę 28 kwietnia odbył się dalszy ciąg uroczystości Mickiewiczowskich.

O godz. 11 i pół ksiądz Zagoda (rektor Misji Katolickiej) celebrował cichą mszę w kościele polskim św. Honorjusza.

W presbiterjum zajęła miejsca rodzina Mickiewicza — jego córki i wnuki. W kościele obecne były wszystkie znane osobistości paryskie (literatura i polityka) i wszyscy „wielcy“ przyjezdni z Polski.

Nie było oświetlenia „à giorno“, nie było nawet muzyki.

\*

O godzinie 3-ej odbyły się uroczystości samego odsłonięcia pomnika na Placu Alma.

Plac Alma położony jest nad bulwarem Sekwany, z perspektywą rozległą na Pole Marsowe i Wieżę Eiffel. Półkole domów zamyka ten plac, półkole, poprzecinane gwiazdzisto rozchodzącymi się ulicami. Jest między niemi i nadbrzeżna Avenue de Tokio (gdzie mieści się ambasada polska), jest i Avenue George V, prowadząca na plac Étoile, są i inne, wysadzone drzewami, pokryte w tej chwili jasną zielenią wiosenną. Na środku placu — ogrodzona przestrzeń dla posiadaczy biletów wstępu. Trybuny udekorowane złocistym aksamitem, zielenią i pękami sztandarów francusko-polskich. Na środku placu — pomnik, cudowny w linji, kolorycie i... myśli. Pomnik, otoczony w tej chwili lasem sztandarów, bukietami barwnych kiecek krakowskich, kontuszy, sokolich i skautowskich mundurów.

Na trybunach: p. ambasador Chłapowski z małżonką, p. Górecki, jako reprezentant rodziny Mickiewicza, p. Briand, mistrz Bourdelle, Painlevé, Maremel (minister. rob. publ. i sztuk pięknych), p. generał Lasson (zastępca prezydenta), p. Laroche (ambasador francuski w Polsce), minister Czechosłowacji i t. d., i t. d. Z polaków: Paderewski, marszałkowie sejmu i senatu — panowie Daszyński i Szymański — dyrektor Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie — Potocki, reprezentanci literatury: Berent, Kaden-Bandrowski i Przesmycki; reprezentanci uniwersytetów: profesorowie Gubrynowicz, Chrzanowski, Kallenbach, Źjejski (Warszawa), Pigoń (Wilno), Kucharski (Lwów); redaktor Olchowicz, Dębicki, oficerowie polscy, z panem attaché Bleszyńskim na czele; p. Kleczkowski — dyr. P. A. T., p. radca Neuman (szef biura prasowego w Paryżu) i t. d., i t. d.

Uroczystość rozpoczyna się odegraniem francuskiego hymnu „Marsyljanki“ i polskiego hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Na ustawioną mównicę pierwszy wstępuje p. Tizman, przewodniczący Komitetu. Megafony roznoszą po placu krótkie, proste słowa przemówienia. P. Tizman w imieniu Komitetu Mickiewiczowskiego ofiarowuje pomnik — miastu Paryż.

P. Lemarchand, przewodniczący rady miejskiej, dziękuje.

Z ramienia rządu francuskiego przemawiał p. Marrand.

P. Marrand zaakcentował, że teraz, na wiosnę, mija 100 lat od chwili emigracji Mickiewicza. Porównywał dwa groby Jego: ten we Francji (chwilowy) z tym w Polsce (grobem królewskim na Wawelu). Następnie przemawiał p. ambasador Chłapowski.

\*  
Zachmurzyło się niebo. Zaczynał padać deszcz. U stóp pomnika składano wieniec. A więc: ponsowe róże od miasta Paryża, wieniec od Związku Literatów i Dziennikarzy, brązowy wieniec laurowy od studentów, wieniec od oficerów polskich (złożył p. attaché Bleszyński i pułkownik Łojko), wieniec „Kurjera Warszawskiego“ (złożony u stóp pomnika przez redaktora Olchowicza) i t. d., i t. d.

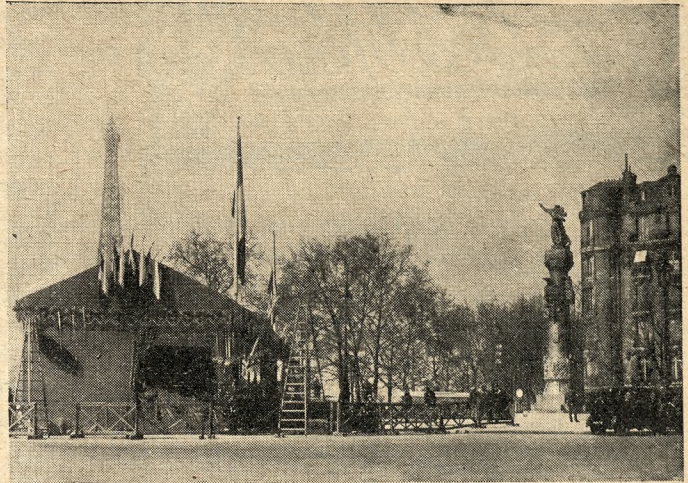
Na wyróżnienie zasługuje piękny wieniec z ziół i nieśmiertelników z napisem, haftowanym na wstędze samodziłowej: „Największemu swemu uczniowi — Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie“.

Rozchodzono się pod potężnym wrażeniem piękna pomnika.

Ten pielgrzym, oparty na kosturze, tyle myśli nasuwał!...



E. A. Bourdelle—na tle rusztowań przy wznoszonym pomniku Mickiewicza



Plac d'Alma w Paryżu — po odsłonięciu pomnika Mickiewicza (pomnik na prawo)

Rozchodzono się.

\*  
Wieczorem p. ambasador i pani Chłapowska proszą na raut, odbyć się mający w salonach ambasady polskiej.

Leży przedemną zaproszenie — mamy witać prezydenta Doumergue'a.

Będzie obecna cała elita paryska i przyjezdna. Grać będzie Landowska.

\*  
A teraz — trochę o prasie francuskiej. Szpalty pism, przepelnione opisem życia i działalności Mickiewicza, wszędzie fotografje pomnika.

„Paris Soir“ — zachwycą się tym wielkim lirykiem, którego dwa tomy przekładów świeżo wyszły z druku (jeden tom przekładów, drugi tom — to zbiór tego, co o Mickiewiczu we Francji napisano).

„L'Ami du Peuple“ ma nadzieję, że echa uroczystości paryskich zacieśnia związek przyjacielski obu narodów.

„Petit Parisien“ pisze między innymi o medalu, wrytym przez Priault'a (w dniu pogrzebu Mickiewicza), a na którym Quinet pamiętne pomieścił słowa:

„Dokąd będą żyły myśli poety, dotąd powtarzać będzie świat cały: Nie, Polska jeszcze nie zginęła“.

„L'Intransigeant“ pisze: „Mickiewicz — to tej miary poeta, co: Goethe, Byron i Hugo. To największy prorok, przepowiadający zmartwychwstanie Polski, w najcięższych dla niej chwilach. Do tych dwóch tytułów, poety i proroka, dodać należy trzeci — wielkiego pośrednika między Wschodem i Zachodem. Pośrednika, o którym Michelet wyraził się w liście, pisanym do poety: „Twój Wschód oświecła mój Zachód blaskiem niesłychanym“.

Na tych słowach znamiennych kończę sprawozdanie z uroczystości Mickiewiczowskich.



## TEATR NARODOWY:

„Radziwiłł Panie Kochanku” — komedia J. I. Kraszewskiego.

Staroszlachecka anegdota może i dzisiaj mieć swój smak i sentyment, ale ją trzeba podać w odpowiednio przyprawionym sosie. Bo sos w anegdocie więcej nieraz znaczy, niż sama pieczeń.

Mało już dzisiaj znajdziemy smakoszków epoki, którzyby dla swego literackiego podniebienia szukali rozkoszy w „Obrazach litewskich” i „Pamiętnikach kwestarza” Chodźki, albo w „Pamiętkach Imci Pana Seweryna Soplicy” Rzewuskiego. A jednak są tam prawdziwe skarby „gawędy”, tej formy narracyjnej czysto polskiej, której ani włoska nowela, ani francuski „leptor” zastąpić nie mogły, a która rozwijała się, jak cień, razem ze szlachecką fantazją, z kontuszowem zacięciem, z idyllą zwierzeń i wspomnień przy kominku.

Przypuszczam jednak, że gdyby tym perłom anegdoty i kolorytu dać oprawę sceniczną, straciłyby one większość swego blasku. Cały ich czar, podobnie, jak to się ma z „Pamiętnikami” Paska, tkwi w epickim tempie opowiadania. Trzeba być prawdziwym mistrzem sceny, żeby z anegdoty zrobić dobrą komedię — mało tego: trzeba być jeszcze doskonałym znawcą staropolszczyzny, aby każde słowo trąciło myszką, każdy frazes był, jak cięcie szabli, aby dIALOG płynął strumieniem patoki, a całość mieniła się, jak lity pas slucki.

Do tego ideału doskonałości daleko Kraszewskiemu. Potwornie płodny powieściopisarz nie był mistrzem pointy scenicznej. Nie umiał sprężyć i ogniskować sytuacji; pokutowała w nim raczej słowiańska rozlewność w traktowaniu fabuły. A język Kraszewskiego, ten uniwersalny u niego dla wszystkich niemal epok organ mowy, tu, w „Radziwiłł Panie Kochanku” dziwnie jakoś stał się mdły, blade, spłowiwały, on, co powinien się iskrzyć, płonąć, strzelać rakietami dowcipu!

Tyle jest potemu okazji! Sama postać Księcia Panie Kochanku, tego genjusza staropolskiej groteski, tego wesołego demona irracjonalizmu w stylu buffo, tego niedźwiedzioatego chochlika, który z rozmachem kresowego magnata, z manjactwem kresowego dziwaka teatralizował życie, ileż ta sama postać przedstawia cudownego materiału komediowego! A przytem jest w niej jakiś monumentalny zakrój borów litewskich, prymitywność i żywiołowość dziecka kniei, pokrewna łosiom, żubrom i niedźwiedzom, książętom puszczy, z którymi ten książę na Nieświeżu w bliskiej żył konfidencji.

Wreszcie spóźniony sentyment do uroczej panny repektowej, ten ostatni odruch samozachowawczego instynktu, ten tragizm wieku niebezpiecznego, który nie chce się poddać starości, a po rozpaczliwej walce szlachetnie ustępuje z drogi młodemu rywalowi, szerokim magnackim gestem maskując ranę serdeczną — temat pozornie banalny, ileż kryje w sobie prawdy życiowej i psychicznego załamania!

Jest to prawdziwa kopalnia motywów, czekająca na swego odkrywcę, któryby z tej rudy wytopił rzetelny kruszec wielkiej komedji. Może legendarny już napoły książę Panie Kochanku doczeka się kiedyś, podobnie jak Cyrano de Bergerac, swego Rostanda. Może...

Sam pomysł przewietrzenia na scenie teatru Narodowego tej starej, kontuszowej, dobrze już przez mole pociętej sztuki był w zasadzie dobry, jako przypomnienie. Szacowne memem-

to! „Patrzcie, patrzcie, młodzi, to już ostatni, co tak poloneza wodził!”. Tym ostatnim reprezentantem starszego pokolenia aktorów miał być Frenkiel, znakomity artysta, świetny znawca staropolszczyzny. Rola księcia Panie Kochanku jakby dla niego stworzona. Powinna pasować, jak ulał. A tymczasem stała się rzecz przykra i niespodziewana. Frenkiel nie umiał roli. Zaciął się w dIALOGU, hamował akcję. Rozpaczliwe i gniewne spojrzenia rzucał na suflera. Tylko facecje recytował gładko i z zacięciem. Ten, który miał prowadzić barwny korowód, podniecać do ochoty, padjudzać do figlów, deprymująco działał na otoczenie. Sztuka, zamiast rwać, jak tabun rozhukany, wlokła się, jak wóz ze smołą.

Reszta aktorów spisywała się nienajgorzej. Młody Frenkiel w roli wygi i lizusa był bardziej udany, niż w rolach amantów. Majdrowiczówna, jak zwykle: śliczny obrazek bez wyrazu. Wogóle przedstawienie nie miało żadnego charakteru — raczej miało charakter: jednej z pierwszych prób. Zupełny brak linii i stylu. Jakaś tandetna, pośpiesznie posklejana robota, sobotnim sztychem na niedzielny targ.

Przy tej sposobności nasuwa się smutne zapytanie: dlaczego teatr Narodowy nie posiada specjalnego inscenizatora, któryby był takim mistrzem archaizowania, jak Schiller w Polskim jest mistrzem uwspółcześniania sztuk? Przecież z tego Radziwiłła Panie Kochanku możnaby zrobić kontuszową feerję, rozwinąć cały przepych nieświeskiego dworu, dać kniejom głos i echo właściwe umarłej przeszłości. Ale im tego nie dano...

S. P. O.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Walter A. Trost: „Tajemnicze klejnoty (2 tomy).  
R. H. Benson: „Tchórz” (2 tomy). — Biblioteka Groszowa.  
Jadwiga Petrażycka-Tomiczka: „Rozmyślenia o sztuce” (nakładem Gebethnera i Wolffa).  
Marjan Piechal: „Krzyk z miasta” (nakł. Meteora).  
Wiktor Doda: „Dookoła książki polskiej” — Tarnów.  
Kazimierz Chłędowski: „Królowa Bona”. Obrazy czasu i ludzi. — Wydanie drugie. — Nakładem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

### WYD. „NASZA KSIĘGARNIA”:

Piotr Tadeusz Piętrzykowski: „Nauczanie robót z metalu”.  
Jan Grabowski: „Reksio i Pucek” — historia psich figlów.  
Jan Grabowski: „Europa” — prawdziwa historia o kotce.  
Cezarino Lupati: „Kukły Norymberskie”.  
M. Zaleska: „Wesele Zięby”.  
Marja Tańska: „Zabawy rytmiczne bez muzyki”.  
Bogdan Nawroczyński: „Swoboda i przymus w wychowaniu”.  
NAKLAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA:  
Emil Zegadłowicz: „Cień nad falami” (życie Mikołaja Srebrnypisanego). — Część trzecia.

„Zegar słoneczny w chińskim ogrodzie”.

Stanisław Szpotański: „Odloty” — powieść historyczna.  
Jan Wiktor: „Tęcza nad sercem” — powieść.  
Olimpia Ligocka: „Wieczór przed zmartwychwstaniem” — powieść.

Kazimiera Illakowiczówna: „Czarodziejskie zwierciadło” — 50 wrózów wierszem.

A. Bór: „Prześladowanie kościoła katolickiego w Meksyku”.

K. Klimontowiczowa: „Siostra ludu polskiego”.

Z. Wołowska: „Chrystus — Król Narodów”.

Reb.: „Mocarstwo podziemne”.

Ks. E. Duplessy: „Spowiedź a взгляд ludzki”.

Ks. P. Siloteaux: „Anioł Karmelu”.

## III.

CEREMONJAŁ I FORMY  
TOWARZYSKIE

Ceremonjał, przestrzegany na dworach królewskich, miał na celu otoczyć osobę panującego pewnym nimbem, wyróżnić go i postawić ponad otoczenie; wpoić poddanym przekonanie, że ten, co władzę nad nimi sprawuje, zasługuje na specjalne względy, na szczególne objawy czci i poważania.

Nieraz zdarzało się, że zasiadali na tronie ludzie, którzy ani rozumem, ani charakterem nie tylko nie wyrastali ponad tych, którym przewodzili, ale przeciwnie, budzili w sercach ludzi uczciwych lekceważenie, a nawet wprost odrazę swym brakiem zasad moralnych, swojemi zapatrywaniem, postępowaniem i obyczajami. Ceremonjał wtedy przybierał charakter kultu, odnoszącego się nie do osoby panującego jako takiej, ale do symbolu władzy, chwilowo reprezentowanej niefortunnie przez osobnika, nie odpowiadającego roli, jaką mu los odegrać przeznaczył. Ludzie zmieniali się kolejno — sama idea majestatu pozostawała nienaruszona i cześć powinna budziła w narodzie. Ceremonjał dawał tej czci wyraz zewnętrzny i to miał bezpośrednio na celu.

Pośrednio ceremonjał dworski wpływał na obyczajnienie przedewszystkiem tych, którzy mieli styczność z osobą monarchy. Przez naśladownictwo, szerząc się coraz dalej, dobry obyczaj przenikał i do warstw społeczeństwa, oddalonych od dworu, a zmodulowany odpowiednio do warunków, stworzył wreszcie pewien kodeks, obowiązujący we wzajemnych stosunkach ludzi i ułatwiający im współżycie.

Dziś pewne formy przyjęte stały się tak nieodzowne, że bez nich życia towarzyskiego wogóle wyobrazić sobie nie możemy; formy te jednak nie zrodziły się odrazu, ale ulegały różnym ewolucjom, zanim stały się takimi, jakich trzymamy się obecnie. Tak jak ceremonjał dworski różny był u różnych narodów, zależnie od cech ich charakteru, tak też i obyczaje przed wiekami nie były wszędzie te same.

Trudności komunikacyjne sprawiały, że poszczególne społeczności ludzkie rozwijały się samodzielnie, nie ulegając wpływowi zewnętrznemu, i zachowywały swój odrębny, wyróżniający je od innych, charakter. Dopiero częstsze stosunki pomiędzy ludźmi różnej narodowości zniwelowały z czasem te charakterystyczne cechy obyczajowe i poddały je pod jeden strychulec.

Dziś kulturalny człowiek — bez względu na stopień szerokości geograficznej kraju, który zamieszkuje — zachowuje się jednakowo w tych samych okolicznościach życia, gdyż nakazy dobrego wychowania objęte są już jednym, wspólnym dla wszystkich, kodeksem światowym.

Krajem, gdzie prawa te stworzono, jest Francja, a prawodawcą — Ludwik XIV; bo choć i przedtem na dworach włoskim i hiszpańskim obowiązywały nawet bardzo wymyślne i skomplikowane przepisy, to jednak właśnie przez ten swój brak prostoty ograniczały się tylko do jednej, najbliższej dworu królewskiej stojącej, warstwy społecznej i nie przenikały dalej. Męczyły i utrudniały życie, zamiast uprzyjemnić obcowanie z ludźmi o tyle, aby mogło ono stać się towarzyską rozrywką, w jaką właśnie przerodziło się w salonie paryskim w początkach 18 wieku. Paryż tych czasów staje się szkołą dobrych manier dla Europy. Młodzi ludzie wszystkich narodowości zjeżdżają tu, aby nabrać ogłady.

Lord Chesterfield w swoich słynnych listach do syna po wielokroć zaleca mu udać się do Paryża, aby w salonach tamtejszych odpolerować się mógł z rdzy, jaka osiadła na nim podczas studjów, w Cambridge odbytych.

Kto poznał salon paryski, nie rozstaje się z nim, jeśli nie jest do tego zmuszony, i wspomina go zawsze z tęsknotą. Nie da się porównać — według słów Voltaire'a — z życiem, jakie się tu prowadzi w otoczeniu sztuki i miłej, subtelnej rozkoszy. Cudzoziemcy, nawet królowie, przekładali ten czarowny odpoczynek wśród tysiąca miłych zajęć ponad ojczyznę i panowanie. Życie towarzyskie ma tu tyle uroku, że zaproszeni na kolację nie wzdragają się odbyć stumilowej podróży, aby uczestniczyć w biesiadzie.

Dziś trudno nam ten entuzjazm zrozumieć.

Zebranie towarzyskie rozkoszą jest najwyższą dla ludzi tych czasów, a rozkosz tę daje im obcowanie z ludźmi prawdziwie grzecznymi; przyjemność to dla nich najgłębiej odczuwana, niewyczerpana w objawach.

Bo też i ludzie salonowi w początkach XVIII w. dokładali wszelkich starań, aby być źródłem przyjemności dla swego otoczenia. Nie wystarczało wtedy niczem nie razić; obowiązkiem było podobać się, zapomnieć o sobie tam, gdzie o innych chodziło; być zawsze tym innym na usługi; dla siebie chować swoje smutki i zgryzoty — dla innych mieć zawsze żarcik i uśmiech wesoły na ustach.

Do starości i choroby nikt się nie przyznawał. Należało być aż do śmierci eleganckim, pachnącym, pełnym wdzięku, miłym, ożywionym, czułym, zawsze jednakowo dobrze usposobionym, uprzejmym i życzliwym dla wszystkich. Człowiek dobrze wychowany ukrywał swoje dolegliwości, aby nie wprowadzać dysonansu w ogólnej harmonji. Bez względu na pogodę, chodził sprężysto i cierpiał bez skrzywienia, bo umiał pogodnie żyć, znosić przeciwności losu i ładnie umierać.

Kłopoty i troski życiowe nie zajmowały nikogo i nie psuły nastroju: umiano patrzeć na swoją ruinę majątkową z doskonałą obojętnością wytrawnych graczy.

Choroba nie uwalniała tych ludzi od obowiązków towarzyskich, bo każdy z nich wolał umrzeć podczas balu, niż na łożu boleści.

Życie towarzyskie niemożliwe jest bez udziału w nim kobiety; to też paryżanka z czasów, poprzedzających wielką rewolucję, jest królową salonu: ona mu ton nadaje i ona stwarza tu prawa.

Grzeczność nie wystarcza w stosunku do kobiet: obowiązuje galanterja, nieznaną granic.

Świadczą o tem szczegóły, podane przez Hipolita Taine'a w jego dziele „Les origines de la France contemporaine“. Opowiada on między innymi, że każda z dam, zaproszonych przez księcia de Conti do jego posiadłości w l'Isle Adam, miała powóz i konie na swoje rozkazy i upoważniona była choćby codziennie wydawać obiad w swoim pokoju dla zaproszonych przez siebie gości.

Inny przykład galanterji stanowi podróż pani de Civrac, udającej się na kurację do jakiegoś miejsca, słynnego z wód leczniczych. Chcąc urozmaicić jej nudy długiej drogi, grono przyjaciół wyprzedza ją o kilka godzin, aby w miejscach postoju przygotować piknik, małe przedstawienie teatralne, czy inną niespodziankę, i w ten sposób skrócić nudy uciążliwej podróży.

Nie mniej charakterystyczny rys epoki stanowi postępek pewnego arystokraty, którego znajoma dama prosi w przeddzień wyścigów w Longchamps o pożyczenie karety, wiedząc, że ich dwie posiada. Niestety, już ktoś inny uprzedził piękną panią — kareta wcześniej jest już pożyczona. Pomimo to, elegancki jej właściciel nie chce prośbie odmówić, kupuje więc nową karekę i wypożycza ją damie na trzy godziny. Szczęśliwym się czuje, że ktoś zaszczyca go prośbą o przysługę, nie szczędzi więc wydatku, aby godnie na ten zaszczyt odpowiedzieć, a ta jego rozrzutność wydaje się bardzo miłym objawem grzeczności i nie dziwi nikogo z jego otoczenia.

Podane tu przykłady galanterji świadczą nie tylko o chęci podobania się, ale dają miarę, jak lekomyślnie wydawano pieniądze, czerpane najczęściej ze skatuli króla, który chętnem okiem spoglądał na rujnujące wydatki arystokracji i hojnemi subsydjami zniewalał ją do przebywania na swym dworze i uświetniania go swą obecnością.

Na przepych dworu królewskiego i zbyt kowne życie magnaterji dostarczała środków pracująca klasa ludności. Niepomierne podatki, wyciskane z niższych warstw narodu, nędza i poczucie krzywdy — zrodzić musiały wreszcie bunt w duszach tych, co w pocie czoła zapracowane grosze oddawać musieli na to, aby inni próżnować i bawić się mogli. Groźne skutki tych niesprawiedliwych stosunków nie dały długo czekać na siebie. Rewolucja była odwetem ludu za długoletnie jego poniżenie, ucisk i cierpienie.

Śmierć rodziny królewskiej i wielkiej liczby arystokratów okryła żałobą najwykwintniejsze rody

Francji. Życie towarzyskie zamarło na czas pewien, aby w innej odrodzić się formie; ale tradycja elegancji, dobrego smaku, swobody w obcowaniu z ludźmi — słowem tego, co prawdziwego salonowca cechuje — przetrwała, i rola Francji, jako szkoły pięknych manier, grzeczności i poloru dla całej cywilizowanej Europy — nie da się zaprzeczyć.

L. Gerlachowa.



## JADŁOSPISY WIOSENNE

Gdy wiosną złączą się różne łamania i strzykania u starszych członków rodziny, różne zawroty głowy, krwotoki z nosa i t. p. dowody osłabienia u jej młodszych latorośli, a lekarz, którego rady zasięgniemy, zaznaczy, że poważną tego przyczyną jest nieprawidłowe odżywianie — gospodyni domu, córka, żona lub matka, pragnęłaby z całego serca złemu zaradzić — jest jednak do pewnego stopnia bezradna.

Doktor wskazał, ile białka, tłuszczu i węglowodanów, ile nawet soli mineralnych i witamin powinno zawierać dzienne pożywienie każdego z członków rodziny. Dla rosnących, dla ciężko pracujących umysłowo lub fizycznie — tyle to; dla dorosłych, lecz spokojny żywot wiodących — tyle; dla starzejących się — jeszcze mniej, lub jeszcze inaczej. I wszystko to razem ma wytwarzać koniecznie mniej więcej tyle a tyle jednostek ciepłoty, czyli kaloryj.

Zapamiętała to wszystko, jak katechizm, zapisała dla pewności w dwóch egzemplarzach; kupiła sobie tablicę kaloryczną do automatycznego obliczania i drugą (niemiecką, bo polskiej nie było), części składowych poszczególnych produktów. A kiedy przyszło do praktycznego zastosowania tych wiadomości — przekonała się z przerażeniem, że nic z tego zbudować nie zdoła. Jeszcze jakiś kompot, kaszę, czy jarzynę dobrać co do ilości i jakości wskazanej — potrafi; ale aby ułożyć śniadanie, obiad i kolację... na to nie starczyłoby chyba miesiąca obliczeń! Mój Boże! to takie naturalne: — kotlet cielecy łatwo jest podzielić na składniki, lecz nikt z tych poszczególnych składników nie potrafi zrobić cielecego kotleta!

Przechodziłam i ja przez te męczarnie: godzinami głowiłam się nad książkami i tablicami. Nakoniec przyszło mi raz spróbować podzielić zwykły obiad, a raczej potrawy z tego obiadu, na części składowe, według wskazówek jednej z książek (niestety, niemieckich!) I, o dziwo! zwykły obiad, składający się z zupy jarzynowej, lekkiego mięsa z jarzyną i sałatą, leguminy mącznej i kompotu — zupełnie odpowiadał potrzebom przeciętnego zdrowego człowieka,

pracującego umysłowo. Radość moja nie miała granic. Wprawdzie panowie nieco się krzywili na te lekkie obiady, lecz czuli się po nich tak dobrze i właśnie tak lekko, chociaż nie głodno, że prędko się z nimi zupełnie pogodzili, zastrzegając sobie jednak, że jesienią i zimą wrócą zupy i paszteciki mięsne i cięższe pieczenie z zawieszonymi sosami.

Teraz dzielę sobie produkty, używane do obiadu, na pięć części. Biorę mniej więcej 25% ryby czy mięsa, 20% jarzyn, 20% produktów mącznych, 15% tłuszczów, 10% owoców, 10% cukru. Nie jest to jakaś niezawodna recepta i ktoś pomysłowszy, lub bardziej ze sprawami racjonalnego odżywiania obeznany, potrafi to lepiej ułożyć. U mnie jednak ten system służy od lat paru, i nikt nań nie narzeka,—nie narzeka dosłownie, bo wszystkim taki układ jadłospisów smakuje, i nie narzeka przenośnie, gdyż wszyscy się czują zupełnie zdrowi.

Jeżeli mówię o zupach jarzynowych, lub na jarzynowym smaku, to niedłatego, aby wygnać zupełnie zupy mięsne. Amatorowie smacznego rosółu mogą sobie nań od czasu do czasu pozwolić; tylko po nim należy podać sztukę mięsa lub potrawkę, a nie mięso pieczone czy smażone, aby zachować pewną równowagę w częściach składowych naszego posiłku i nie przeciążać go białkiem, na co lekarze tak zgodnie napadają.

Wiem, że usłyszę zarzut czytelniczek — zawsze jeden i ten sam: — skąd weźmiemy jarzyn i owoców do codziennego użycia!? Pierwszych mamy mało, drugie są tak kosztowne, że na większą rodzinę dokupić się ich nie można. Jest to zarzut tylko poczęści słuszny. Kto kupuje potrzebne produkty z dnia na dzień, ten tylko przy bardzo dużych środkach materialnych może na wiosnę używać świeżych owoców. Natomiast może zawsze zastąpić je kompotami z owoców suszonych, które w doskonałych gatunkach mamy wyrabiane w kraju, więc bez zagranicznych zupełnie już obejść się możemy.

Oprócz tego, każda dbała o zdrowie rodziny matka musi latem i jesienią zaopatrywać się w kompoty, „jamy“ i marmelady w takiej ilości, aby ich na codzienny użytek starczyło. Nie wspominam tu celowo o konfiturach, które są wprawdzie bardzo zdrowym, lecz jedynie deserowym przysmakiem. Mówię wyraźnie o tych przetworach owocowych, które w braku świeżych owoców należy podawać nie tylko w postaci słodkiego dania na obiad, lecz także jako konieczny dodatek do śniadań. Anglo - sasi, najsilniejsza rasa w Europie, rannego posiłku bez owoców lub konserw owocowych nie rozumieją; jeżeli więc tak lubimy naśladować zwyczaje angielskie, możebyśmy ten właśnie przyswoić sobie spróbowali.

Zanim ta pogadanka ukaże się w „Bluszczo“, zapewne będziemy już mieli na targach łodygi rabarbaru. Kompot z nich, marmelada, szarlotka — są

smaczniejsze, niż z jablek i nadzwyczaj dodatnio działają na trawienie. Należy starać się używać ich codziennie, dopóki mamy świeże, i zrobić jaknajwiększy zapas marmelady i kompotów z nich na zimę. Szczególniej w tym roku, kiedy zapowiadają brak owocu (podobno czereśni i gruszek wcale nie będzie), te rabarbarowe konserwy będą miały szczególnie ważne znaczenie.

A co do jarzyn — oczywiście, nie mamy wybornych francuskich i włoskich karczochów, a raczej mamy je, lecz niezbyt dorodne, bardzo drogie i krótkotrwałe; rzadkością są dobre sałatowe selery, jeszcze większą rzadkością kardy. Sałatę po dostępnej cenie mamy tylko latem. Lecz jeśli umiejętnie zacząć używać naszą marchew i brukiew, wyborne buraczki, kapustę białą, włoską, czerwoną i brukselską, jeśli się dać przekonać, że bulwa włoska jest równie delikatna, jak szparagi i kalafjory—to jarzynę urozmaiconą można mieć codziennie. Urozmaiconą, t. j. przyprawioną w postaci purée, sufletu, budyniu, kuletek jarzynowych i t. p. Bo jadamy ją przeważnie tylko krajaną w kostkę, ugotowaną i podprawioną masłem, mąką i cukrem, co jest wcale niesmaczne i nuży swą jednostajnością. No i jeżeli sałaty zimowe są u nas jeszcze niedostępnym dla ogółu zbytkiem, to przynajmniej tę wiosenną, listkową, i tę letnią, głowiastą, jadajmy codziennie i w jaknajwiększej ilości; wszak mieści ona w sobie te witaminy, których zimą mieliśmy tak mało! I niekoniecznie śmietaną trzeba ją przyprawiać: z oliwą i cytryną smakuje wyśmienicie i jest dla wszystkich zdrowa.

Pani Elżbieta.



### SUROWE SAŁATKI OWOCOWE.

Poziomki leśne ocukrzyć dobrze pudrem cukrowym i dać tak postać godzin parę. Na pół kilo poziomek ubić krem z kwaterki dobrej, kwaśnej śmietany, zmieszać z ocukrowanymi poziomkami, ułożyć na salaterce, posypać pięcioma deka usiekanych włoskich czy tureckich orzechów i podawać natychmiast, gdyż poziomki, stojąc w śmietanie czas dłuższy, tracą swój ładny kolor.

Pół kilo dużych, ananasowych truskawek połupać na połówki, ułożyć na salaterce i połać dwiema łyżkami płynnego miodu pszczelego. Trzymać tak przez całą noc; zrana wymieszać dobrze i podawać do śnia-

daniam. Chcąc podać sałatkę do obiadu, należy ją przyrządzić zrana, aby truskawki dobrze się przejęły smakiem i aromatem miodu.

Pół kilo dojrzałych, kruchych jabłek i ćwierć kilo melona obrać z łupinek, oczyścić z ziarenek, poszatkować jaknajcieniej, posypać dziesięcioma deka cukru i przełożyć do salaterki. Dać postać przed podaniem godzin parę, mieszając sałatę co godzina. Od siebie dodam, że sałatka ta jeszcze lepiej smakuje, jeśli przed podaniem polać ją łyżką likieru marmaskino lub abricotine.

Kilo czereśni czarnych lub dużych, słodkich wisien-łutówek wydrylować. Kilka pestek stłuc, ziarnka z nich wyjąć i dodać do wisien. Obsypać wszystko to dwudziestoma deka cukru i zalać niedużą szklanką czerwonego wina (może być owocowe). Wymieszać doskonale i podać wtedy dopiero, kiedy się cukier zupełnie rozpuści.

Morele suszone zalać na noc zimną wodą. Zrana, gdy wyhrzękną, jak świeże, i całą wodę wchłoną w siebie, posypać je obficie pudrem cukrowym (dwadzieścia deka cukru na dwadzieścia deka suszonych moreli). Wymieszać starannie kilka razy, aby się cukier zupełnie rozpuścił. Podawać bardzo zimne.

#### NOWE SAŁATKI.

Wziąć po równej części ogórków, młodych rzodkiewek, wewnętrznych liści głowiastej sałaty. Ogórki i rzodkiewkę poszatkować cienko, sałatę pokrajać nieco grubiej, zmieszać razem lub ułożyć trzema rzędamy na salaterce; osolić, polać obficie oliwą, skropić cytryną, lub winnym octem i podawać.

Młoda kalarepkę obrać ze skórki, uszatkować drobno na specjalnej tarce do jarzyn, lub zestrugać na deseczce, przeznaczonej do strugania fasoli i ogórków; zmieszać z drobno pokrajaną sałatą głowiastą, zaprawić solą, odrobiną cukru, polać oliwą, dodać soku cytrynowego, lub winnego octu, wymieszać i przełożyć na salaterkę.

Młoda, delikatną marchew, najlepiej karotkę, uszatkować cienko lub zestrugać na specjalnej deseczce. Dodać na dwadzieścia deka marchwi jedno spore jabłko, tak samo uszatkowane, odrobinę soli, łyżkę najlepszej oliwy i łyżeczkę soku cytrynowego; wymieszać i dać postać godzinę. Kruchemi listkami głowiastej sałaty wyłożyć salaterkę, na nich ułożyć sałatkę z marchwi i podawać zaraz, aby sałata nie zwiędła.

Utrzeć na tarce jednakową ilość surowych, ćwikłowych buraczków i białej, niezbyt ostrej rzodkwi, dodać trochę utartego chrzanu i również utartej, łagodnego smaku cebuli, wymieszać z sokiem cytrynowym, łyżeczką cukru, trochę soli i dać postać godzinę, albo więcej. Salaterkę wyłożyć listkami sałaty głowiastej, na nich ułożyć sałatkę z buraczków. Do tego poleca książka niemiecka kručze, słone ciastka, co mi się wydają niezłą kombinacją.

Twardą głowę kalafjora sparzyć wrzątkiem na pięć minut tylko. Odląć, uszatkować drobno, posolić, polać oliwą i sokiem cytrynowym. Dać postać godzinę; przełożyć na salaterkę, obłożyć kruchemi listkami głowiastej sałaty. Można też kalafjor zmieszać po połowie z uszatkowaną kalarepką.

Pani Elżbieta.

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ  
**ESENCJA I MYDŁO**  
**CHINOWO-CHMIELOWE** (z „KOGUTKIEM”).  
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
 I PERFUMERJE. - GŁÓWNY SKŁAD:  
 APTEKA A. GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

**HEMOROIDY.** CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”  
 USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIĘCZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). - SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. - SKŁAD GŁÓWNY - APTEKA A. GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.  
 ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

#### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
 Druk. Zawł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

**Czy istotnie jest tak źle?** (w odpowiedzi p. Z. Persowskiej z Bytenia)

Dawno już interesowała mnie kwestja osadnictwa wojskowego, warunków materialnych, stosunku do niego władz i wogóle spraw, najbardziej dla osadników żywotnych.

Ponieważ p. Z. Persowska poruszyła kwestję powyższą w jednym z artykułów „Mównicy“, pozwolę sobie i ja rzec słów kilka.

Wszyscy, lub prawie wszyscy, wiemy, za co i kiedy dzisiejsi osadnicy wojskowi dostali ziemię — jako słuszną zapłatę za trud, niesiony Ojczyźnie, za krew, przelaną w jej obronie. Przed kilkoma laty ruch, wzniecony osiedlaniem się na Kresach przybyszów z Polski zachodniej i południowej, był bardzo żywy. Jednostki i grupy b. wojskowych szły na wschodnią rubież kraju, by pracą na roli dokumentować raz jeszcze swoją dla Ojczyzny gotowość i ofiarność w codziennym trudzie. Że obok tego w grę miała wchodzić sprawa druga — bytu codziennego, kwestje materialnej niezależności, zarobku „na życie“, — nie czyni to najmniejszej ujmy idei przyszlých kresowych strażników. Czas wielkich i głośnych bohaterstw skończył się, a zaczął okres codziennego trudu.

Działki bywały rozmaite. Były po 60, były i po 8 ha ziemi, nieraz jałowej, często nieuprawianej od wielu lat, często zupełnie dzikiej, choć nierzadko były i „środkie „czarnoziem“.

Państwo zdawało sobie sprawę ze stanu i jakości darowanej ziemi i, pragnąc zagospodarowania jej, wyliczyło i pomoc dla tych, którzy gospodarzyć mieli. Ulgi podało, kredyty, pomoc w inwentarzu i narzędziach, niekiedy budulec na mieszkania. W pierwszych latach osadnictwa, gdy ruch był intensywny, pomoc była duża i żywa. Potem, z biegiem czasu, działki darowywane były mniejsze, pomoc rzadsza, w końcu (dziś) ruch osadniczy ucichł. Zachodzi tedy pytanie, jak osadnicy zużytkowali ziemię, jak się zagospodarowali i jaki jest dzisiaj stan osadnictwa?

Ktoby chciał wyciągnąć wnioski z artykułu p. Persowskiej, przedstawiłby sobie ten stan w jak najgorszym świetle. Ziemianki, nędza, czarna troska, jako gość codzienny; żadnego jaśniejszego błysku, chyba wspomnienie legjonowych bohaterstw, lub list „z Polski“. Smutno mi, że osadnicy pow. Słonimskiego tak wegetują, ale myślę, że wszędzie tak nie jest, że nie może być!

Boć warunki, w jakich osadnictwo powstało, mimo, że były ciężkie, przecie nie były beznadziejne! Gdy jest niedola, musi być jej przyczyna. Poszukajmy jej w tym wypadku. Osadnicy dostali ziemię, gratisowo — nie zapłacili za nią nic. Dostali ziemię, budulec; mieli możność otrzymania pożyczki rządowej. Myślę, że żaden z nich, wybierając się na Kresy, nie przyjechał tu z niczem, bo to byłoby zupełnie lekkomyślne, a punkt ciężkości jego uprzedniego istnienia musiał mieć jakoweś materialne, dające się na pieniądze rozmienić, znaczenie.

Więc nie przyjechał z „gólemi rękami“. Choćby budulecu nie dostał (bo nie wszyscy dostawali), miał ów zaczątek, przywieziony z sobą; choćby go nie miał, istniała możność otrzymania pożyczki, jak wspomniałam wyżej. Kto chce, ten wiele może. Tak i w tym wypadku. Przy dobrych chęciach, stałej pracy, pomocy rządowej — mogła stanąć w przeciagu 5-ciu lat osada, racjonalnie obmyślona; może nie z domem murowanym, ale drewnianym, jak wszystkie tu; może nie bogata, ale zasobna w niezbędne przy tego rodzaju gospodarstwie zabudowania; schludna, starannie utrzymana zagroda. Mogła stanąć — a ziemianki, mimo, że istniały ongiś i w osadnictwie, miały czas przejść do bolesnych wspomnień. Nie piszę tego na podstawie tylko teoretycznych rozważań; są w powiecie baranowickim osady żołnierskie, gdzie gospodarka rozwija się jak najpomyślniej, gdzie poprzednie ciężkie warunki są już tylko wspomnieniem; osady, których właściciele nie dostali niczego ponad to, co dostawali inni.

Wszystkie rezultaty pracy tej, czy innej, zależą od jej zapoczątkowania, od sposobów jej ujęcia i od systemu, jaki się przy niej stosuje. A niestety, zdarzały się fakty, że osadnicy (nie wszyscy, oczywiście) zapoczątkowania pracy dawali marne, systemu żadnego nie stosowali, a w przyszłość patrzeć nie umieli, czy nie chcieli...

Czem bo tłumaczyć nie specyficzne i nie odosobnione wypadki sprzedawania otrzymanego buduleca kupcom żydowskim? Drzewo popłynęło Niemnem, pieniądze się rozlały... I, powtarzam, nie był to wypadek jedyny i odosobniony.

Myślę, że osadnicy, przyjeżdżając na Kresy, po prostu nie zdawali sobie sprawy z tego, że praca, jaką mają zacząć, jest — mimo pomocy rządowej — pracą bardzo ciężką. Nie zdawali sobie z tego sprawy tembardziej, że w dużej części byli to ludzie niekompetentni (przeważnie drobnomieszczaństwo), któ-

rzy na pierwszy rzut oka wzięli zysk za całokształt swego na Kresach bytowania. I stąd wynikło nieporozumienie. Nieporozumienie ziemi i warunków z nowym gospodarzem. Ziemia, jak to ona — miłująca jest i hojna, gdy otrzyma swój przydział i racjonalną uprawę — a warunki ileż razy stają na opak i utrudniają niejedno poczynanie — „dobre“ pole dla gospodarza, wiedzącego o gospodarce mało, lub zgola nic — zniechęcającego się łatwo, słabowolnego!

Pomijam już kwestję rodziny, duchowe rozrywki, religijne pociechy, których tu brak zawsze i wszędzie bodaj. Walczyć z tego rodzaju przeciwnościami, i walczyć skutecznie, mogą tylko ludzie silni, — słabsi ulegają zbyt łatwo apatji i zniechęceniu.

Krytycznie też spojrzeć muszę na inną, nie mniej ważką sprawę, którą p. Persowska w związku z osadnictwem porusza. Owa samotność, wygnanie, wyrzeczenie się kultury, której cząstka słusznie się każdemu należy. Tu jest niedola bodaj najcięższa dla kulturalnej jednostki. Szeroki białoruski ugor, wędrujące piaski, wilki, w zimie za oknami wyjące, zawodzenia wiatrów, i cisza, i pustka, i głusza. Dla samotnika — wymarzony raj; dla człowieka nowoczesnego, z aspiracjami normalnymi — nieco straszny raj.

Niema jednak takiej bolączki, którejby nie można uleczyć — i niema takiej beznadziejnej sprawy, która nie dałaby się tym, czy innym sposobem uregulować. Jest poczta. Są gazety, pisma, książki w prenumeracie; jest dla zasobniejszych radjo wreszcie. A choćby cały czytelniczy balast zmałał do minimum, choćby nie starczyło środków, czy brakło chęci, to przecie każdy osadnik — i ten w ziemiance, i ten w chacie, i ten w zagrodzie — ma rodzinę, żonę, dzieci. Więc ludzi bliskich, z którymi może myśl podzielić.

A weźmy taki przykład. Na tych samych terenach Białorusi, na tych samych pustkowiach żyją rozrzucone po wsiach jednostki nauczycielskie. Żyją wśród chłopstwa, przeważnie antagonistycznie nastrojonego, w strasznych nieraz warunkach komunikacyjnych i mieszkaniowych. Przyjeżdża taka nauczycielka z ciepłego, dobrego domu rodzicielskiego na pracę około „kamieni ugornych“. Do chaty niskiej, wilgotnej i zimnej, do codziennego trudu. A jako chleb powszedni ma nieopalone przez całą zimę mieszkanie, chronicznie dymiący piec, wiatry, hulające przy podłodze, i stałą ignorancję tych spraw przez „odnośne czynniki“. Pomimo tych warunków, musi śledzić postęp wiedzy, pracować nad sobą, czytać, uczyć się i nie poddawać się rozpaczom ani zniechęceniu. Przeciwnie: powinna być rzeźwa, wesoła i radosna — w przeciwnym razie jakże mogłaby dobrze spełniać swą pracę wychowawczą?!

Tygodniami i miesiącami codzien to samo: — dzieci, lekcje, te same szumiące drzewa (iglaste i liściaste, o rozmaitych poszumach); ten sam widoczek na oborę, urozmaicony czasem sylwetką bezrogiego inwentarza żywego; ten sam wiatr, rozpaczliwie od podłogi wiejący, i ta sama cisza wieczorów, w której doskonale odróżnia się pulsująca w żyłach krew od bicia własnego serca i tykania malutkiego zegarka.

Wśród takiej szarzyzny upływa życie setkom — gdybyż tylko setkom — nauczycielstwa. A przecie, a jednak, smucimy się na wesoło i wyszukujemy blasku słońca tam nawet, gdzie oczy laika dostrzegają tylko cień, i żyjemy, i pracujemy.

Mojem zdaniem, życie na Kresach wogóle pozostaje, jak dotąd, w nieskoordynowanej jeszcze formie. Brak tu spójni i brak punktów stycznych, zarówno między jednostkami, jak i ugrupowaniami społecznymi. Stąd słaby dopływ kultury, stąd osamotnienie grup i jednostek kulturalnych. Masy ciemnego chłopstwa, intensywnie ongi przez rząd rosyjski rusyfikowane, to jakby wielka ława, prąca swoim zastępem przeciwko prądowi cywilizacji. I myślę, że zanim się weźmiemy do innych czynności, trzeba wpieryw załatwić sprawę owych mas. Ich nędzę i ciemnotę zrozumieć można wtedy tylko, gdy się je dobrze widzi w życiu codziennym. I tę nędzę i ciemnotę trzeba zniszczyć. Wtedy i życie osadników będzie łatwiejsze.

A z osadnikami nie jest naogół tak źle, nietylko dlatego, że „bywa gorzej“, ale przede wszystkim dlatego, że osadnicy (ci silni) pracują i biorą się z życiem za bary, pełni werwy i wojskowego humoru. I często zwyciężają. Wiarusi ci, to nowa gwardja kresowa Rzeczypospolitej: graniczna, wolna, a wierna straż.

*W. Tropaczyńska — Mogilica.*

### **Chwile trudne dla dzieci i rodziców.**

Tyle mówi się teraz i pisze o wyborze właściwego zawodu, który dałby nietylko byt materialny, ale i moralne zadowolenie, że temat to chyba najważniejszy, zarówno dla młodzieży, jak i dla rodziców.

Jak umieć zaobserwować i poznać, do czego młody chłopiec czy dziewczynka mają zamiłowanie, jaka jest najlepsza do tego droga? Bo nie zawsze łatwe to zadanie. Bywają dzieci i młodzież, zdradzająca odrzu specyficzne uzdolnienia i zamiłowania. Trafia się to najczęściej u chłopców, zdolnych i zapalonych mechaników. Ciągłe będą coś budowali i majstrowali: jak nie samolot, to wiatrak, co się sam obraca, albo statek, albo turbinę. Ale inne skłonności poza mechaniką i czasem jeszcze medycyną, (mam znajomego młodego lekarza, który od 7 roku życia lubił bawić się w leczenie) nie objawiają się tak wybitnie. Zwłaszcza u dziewczynek. Jako pewna wskazówka, posłużyć może jeszcze gust do robótek. Zdaje się, że można twierdzić prawie napewno, iż dziewczynki bardzo zdolne, wielkie intelektualistki — robótek nie lubią; natomiast te, które z zamiłowaniem szydełkują i haftują, będą wolały jakiś zawód praktyczny, gospodarskie zajęcia, od wyższej nauki. Ja tak wielokrotnie obserwowałam, ale czyż to można zawsze wiedzieć napewno?

Dużo decydują zdolności, w szkole wykazywane, opinia nauczycieli, no i, naturalnie, chęć i zdanie samego najbardziej zainteresowanego, młodzieńca lub panią. Ale właśnie chodzi o to, że o naprawdę traf-

ną chęć i właściwe zdanie jest dosyć trudno.

Najpierw sama kwestja szkoły. Mówi się, że szkołę średnią, przygotowującą do wyższych studjów, kończyć powinny tylko dzieci zdolne. Mnie się zdaje, że tak stawiać sprawy nie można. Jak dobrze znana jest historia t. zw. prymusów, zbierających w szkole same piątki — a później w życiu z tych prymusów wyrastają miernoty, gdy przeciwnie, z średnich i gorszych uczniów mamy ludzi bardzo nieraz zdolnych w różnych zawodach, wymagających wyższego wykształcenia. Życie nastrocza nam setki takich przykładów.

Powiedzieć można, że właściwie decyzja jest łatwa, gdy chodzi o przeciwne bieguny — o bardzo zdolnych, lub wybitnie niezdolnych. Wtedy od razu wiadomo, co robić. Ale między temi dwoma przeciwieństwami leży cała wielka sfera pośrednia. I bardzo trudno jest zdecydować już w szkole, jak pokierować temi przeciętnymi, szaremi jednostkami.

Dużo się mówi o kształceniu zawodowem, i zawsze z dodatkiem, że do szkół zawodowych iść powinna młodzież niezdolna. I na ten pogląd nie mogę się zgodzić. Może dlatego przemysł, rzemiosła, handel stoją u nas marnie, że takie mamy poglądy; coś, jak ten ojciec, który miał czterech synów: trzech mądrych, a czwartego gospodarza! Każdy zawód wymaga inteligencji, zdolności i zamiłowania i źle będzie, jeśli powiemy sobie: nie ma chłopiec zdolności — to niech zostanie drukarzem, zegarmistrzem lub leśnikiem, a dziewczynka — pielęgniarką (to teraz modne), lub nauczycielką robót, czy krawcową!

W każdym zawodzie nie może być samych talentów, ale w każdym znaleźć się one muszą, jako zaczyn i przewodnictwo; to też twierdzenie, że dzieci niezdolne oddawać trzeba do szkół zawodowych, uważam za zgruntu mylne. Czytałam kiedyś książkę o szkolnictwie w Japonji. Tam większość szkół jest zawodowych, ale jakże one są wspaniałe! Istnieje ich niezliczona ilość typów, oddziałów i z każdej może jednostka zdolna przejść do wyższej uczelni — niema tam mowy o tem, aby to były szkoły dla niezdolnych — są to specjalności, takie same, jak prawo lub inżynierja.

Najważniejszy jest trafny wybór tego zawodu, i to powinno być bardzo obszernie, poważnie i fachowo przedyskutowane: jak rozpoznawać zdolności i zamiłowania młodzieży. Sama mam czworo dzieci. Z tych tylko jeden najstarszy syn okazywał wybitne i zdecydowane zamiłowanie do wojskowości i jest od roku w szkole podchorążych. Młodszy są zupełnie nie do określenia pod względem chęci wyboru. Córka zdaje w tym roku maturę i zastanawia się, co wybrać — może architektura, a może W. S. H., a może... przyroda! Dwaj młodszy od niej chłopcy, jeden w 6-ej, jeden (starszy) w 5-ej klasie. Uczniowie przeciętni, ani źli, ani b. dobrzy. 6-to klasista ma nawet zdolności do rysunków, lubi je, ale... zamierza wstąpić do uniwersytetu na geografję, tak mu poradzono. Drugi zostałby może lotnikiem, ale wątpię, czy co z tego być może, gdyż nie ma zbyt silnego serca. Nieustanną moją troską jest, jak rozpoznać zdolności i zamiłowania

moich dzieci, jak im dopomóc do dobrego wyboru, bo i sprawy materialne nie mogą tu być przecież na ostatnim planie. Myślę jednak, że powinna być pomoc i rada fachowa. Czy inne matki mają też troskę podobną? Chyba tak. Może która z pań odpowie mi, poradzi i podzieli się swemi spostrzeżeniami i swem doświadczeniem?

J. W. D. — Lublin

### Jeszcze o szczęściu w małżeństwie (w odpowiedzi Liskowiance).

Zwracam się do pani, wielce Szanowna Liskowianko.

Jako istota, która pragnie gorąco dopatrzeć się na świecie jak najwięcej piękna i prawdy, serdecznie pani gratuluję Jej wiary w niezachwianą pewność oraz trwałość szczęścia małżeńskiego. Także przekonanie pani, że kobieta potrafi *istotnie* „przykuć męża do siebie“ — zaszczyt pani przynosi. Świadczy bowiem, jaką wagę nadaje pani moralnym walorom kobiety. Określenie istoty małżeństwa, jako „zespolecie wszystkich uczuć z uczuciami męża“ — zdefiniowanie małżeństwa: jako „zagubienie swej indywidualności w indywidualności drugiego i nawzajem nadanie mu swojej“ — to już szczyt idealizmu, ostatni wyraz piękna w uczuciu, to zarazem cudny sen, z którego budzić się... niebezpiecznie!

Bo w jakichże doprawdy seraficznych sferach pani przebywa, że mogła uchować i utrwalić w sobie wiarę tak wzruszająco idylliczną? Tak poetyczne ujęcie kwestji przez panią ma woń czarownego kwiatu, upajająco słodką... ale zostawmy niebotyczne szlaki i zajrzyjmy w stalowe źrenice twardej, nieubłaganej rzeczywistości.

Jeżeli naprawdę znalazła pani w towarzyszcu swego życia tak zespoloną duchowo i ideowo połowę własnej jaźni, jest pani *fenomenem* bezgranicznie szczęśliwym. Bóg wyświadczył pani tym darem bezcenną łaskę; codzienne gorące dziękczynienia są jeszcze zbyt małą odplątą.

Jeżeli ponadto zna pani cały szereg mężów, oddanych własnym żonom bez zastrzeżeń, to jeszcze jeden dowód szczególnej łaski Boga.

Wątpić o tem, że istnieje wielu mężczyzn szlachetnych, wspaniałych, imponująco mądrych, bohaterkich — byłoby absurdem. Ale nawet ci wielcy i potężni duchem niebardzo się przejmują zdeptanem sercem kobiety. A że pewien procent tych „lepszych ludzi“ stara się wypełnić znakomicie obowiązki rodzinne — to jeszcze nie ocala *całości sprawy*.

Reasumując statystycznie: olbrzymia większość kobiet była i jest krzywdzona przez mężczyzn w małżeństwie, a bardziej jeszcze — poza obrębem małżeństwa.

Skądżeby nagle wyłoniła się „kwestja kobieca“ w różnych swych przejawach, gdyby była bezpodstawna? niema przecież zjawisk bez przyczyny.

Męska akcja represyjna wywołała tę reakcję. Kobieta była zmuszona bronić się przed bezprawiem, wyzyskiem i ostatecznym swem upodleniem.

Nie jest to, proszę miłej siostry, moje „odkrycie“ ani „wynalazek“, którymby się moje skromne „ja“ pochlubić mogło, życie wciąż o tem wielkim głosem krzyczy!!

Ponadto od wieków rozbrzmiewa literatura całego świata wymownymi epizodami na powyższy temat, a najszlachetniejsze pióra genjuszów — zarówno męskich, jak kobiecych — nie wahały się poświęcić wszystkich swych sił sprawie sponiewieranej, uciemiężonej kobiety.

Nie będę więc kruszyła kopji o prawdę, odkrytą jeszcze wcześniej, niż teoria Kopernika o obrocie ciał niebieskich. Nie mam też absolutnie zamiaru ani chęci by nawracać kogoś na swą wiarę; szanuję bowiem bezwzględnie wolność przekonań i szczerze admiruję to, co czyste, piękne, idealne. Tylko trudno mi pojąć, jak można, obserwując życie, a w szczególności dzisiejsze, trwać niewzruszenie na stanowisku optymistki na punkcie małżeństwa i ufać, że kobieta może „wszystko, co zechce“!?

Aby tak cudnie, jak pani określiła, odśpiewać swe partje popisowe w wielkiej operze, zwanej małżeństwem — potrzeba zespołu dwojga artystów życiowych. Gdy zaś partner absolutnie nie dorósł do wysokości zadania, wówczas fiasco jest nieuniknione, gdyż kobieta jest przecie tylko człowiekiem i cudów nie działa. Że przy niedobrej obsadzie ról wysiłki kobiety nie przynoszą rezultatów „in plus“, niech to pani udowodni śliczna postać z historii: Marja Leszczyńska. Mądra kobieta, wspaniała dusza, „anioł Francji“ — z pewnością żywiła też aspiracje, by przykuć męża do siebie. Jak jej się to udało — wiadomo!

Ustaliwszy w sobie przekonanie, że mężczyzna, poza znikomymi wyjątkami, jest mężem niewiernym i bagatelizującym swe obowiązki rodzinne, nie sądzę jednak, by każda kobieta była zdeptanym aniołem. Owszem, uznaję winy kobiet, niezliczone nasze wady i rażącą tak często niedoskonałość wewnętrzną. Ale jeżeli teroryzm mężczyzn w stosunku do kobiet usprawiedliwiamy „tradycją wiekowego, absolutnego panowania nad światem“, czyż wady kobiet nie dadzą się również wytłumaczyć ich identycznie długą niewolą, która musi poniżać, kalać, upadlać ducha?

Jeżeli w poprzednim artykule poruszyłam kwestję niedoli kobiet w małżeństwie — to nie w tym celu by wyjękiwać spóźnione już jeremjady, lub rozniecać ogień nienawiści. Nawet takiego mężczyznę, jakim on jest obecnie — z którego winy tyle cierpi — kobieta kocha do ostatnich granic, jako syna, brata, ojca, narzeczonego (rzadko jako męża).

Nadmieniłam, że jeremjady na temat małżeństwa są dziś spóźnione, gdyż kobieta rozumiała, w czem jej ocalenie.

Kształcić wciąż umysł, doskonalić nieustannie ducha, rozwijać w sobie siłę woli, wespół z siłą mięśni — czyli stać się wszechstronnie silną — oto zadanie kobiety.

Gdy osiągnie ten ideał — bez żadnych już trudności, przykrych tarć i podłostek — zdejmie ze swych bark resztki jarzma. Istota mądra, piękna i silna duchem przestanie być ofiarą tyranji. Ten dzień nadchodzi! Kobieta szybko i zdecydowanie posuwa się ku ideałowi własnej doskonałości. Dlatego właśnie musi wyjrzeć poza obręb swego domu, ogarnąć szersze horyzonty, zrozumieć miłość cierpiącego ogółu. Temi słowy żegnam Panią, sympatyczna Liskowianko.

Marja Szarkoma — Ujkwise.

### I tu coś pomóc trzeba.

Uprzejmie proszę łaskawe panie o pomoc i radę. Przed paroma dniami przysłała do mnie kobieta z dwojgiem dzieci: jedno ma 3 latka, drugie 10 miesięcy. Ojciec dzieci od szeregu lat był chory i utrzymywał rodzinę jedynie z jamużny. Obecnie przed miesiącem zmarł. Kobieta owa została bez żadnych środków do życia, w zupełnej nędzy; jest młoda i gotowa do każdej pracy, byleby mogła ją znaleźć, lecz, niestety, na wsi nikt jej nie chce przyjąć ze względu na dzieci. Przez parę dni była u mnie, lecz nadal nie jestem w możności jej trzymać. Może która z pań wie o jakim przytułku lub schronisku dla dzieci, może zechce kto łaskawie poradzić, co zrobić z temi biednymi sierotami, by nie dały im zginąć? Matka, po umieszczeniu dzieci, poszłaby do pracy, a wtedy będzie mogła płacić coś za nie. Bardzo proszę o jaknajszybszą radę.

W. T. — Warka.

### Co radzić? (w odpowiedzi p. Mar.-Mil.)

Z serdecznem wzruszeniem przeczytałam list Pani. Zrozumiałam naprawdę poraż pierwszy znaczenie modlitwy o *dar dobrej rady*. Tak, umieć dla bliźniego znaleźć dobrą radę w nieszczęściu, to istotnie łaska Boża, o którą modlić się trzeba, gdyż nie jest łatwo wymyśleć coś trafnego i praktycznego i nie-trudnego do zastosowania.

Na Pani największy, drażliwy kłopot znalazła zdaje się sposób p. Mossoczowa, jakaż to dzielna i zacna osoba! Ja myślałam długo, coby Pani mogła zrobić, aby zapewnić sobie jakiś środek utrzymania na dalszy dystans. Przyszło mi do głowy, czyby Pani nie spróbowała hodowli ziół lekarskich? Jeżeli ma Pani, mieszkając na wsi, mały ogródek, albo może go wdzierżawić, a zresztą tyle tych ziół, rumianek, mięta, bratki, podbiał i t. p., i t. p., rośnie dziko na polach w ogromnych ilościach. Tyle pieniędzy idzie za te zioła zagranicę; hodowla nie jest trudna i jest dużo przepisów (zdaje się i „Bluszcz“ wydał o nich książkę). Może się drogiej Pani ten pomysł przyda. Serdecznie życzę poprawy losu.

Helena W. — Radom.